

CZASOPISMO LITERACKIE



PEGAZ LUBUSKI

ISSN 1732-1069

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 2 (93) 2023

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Sekretarz redakcji: Danuta Zielińska

95 727 70 70 / d.zielinska@wimbp.gorzow.pl

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Turska, Danuta Zielińska

Druk: PRINT GROUP Sp. z o.o.

ul. Cukrowa 22

71-004 Szczecin

W numerze i na okładce prezentujemy grafiki Ireny Zielińskiej

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

ROZŁAM

Pęknięcie. Rozłam. Rozbicie. To oznacza najczęściej jakąś nieodwracalność. Dezintegrację. A ostatecznie także brak.

Kiedy planowałam temat drugiego w tym roku numeru „Pegaza Lubuskiego”, nie przypuszczałam, że ta ostateczność dotknie gorzowskie środowisko literackie tak dostownie. Odejście Ireny Zielińskiej stało się wyrwą, której nie da się zasypać żadnym słowem. Można próbować. Przywoływać wspomnienia, przypominać teksty i piosenki, co pięknie uczyniła Barbara Schroeder, ale ten brak pozostanie tak samo dojmujący.

Myślę o tym, podsumowując tegoroczny festiwal FurmanKa. Że zasypywanie tych wyrw, szczelin i pęknięć to praca bez końca. Jeśli się zatrzymamy, zostaniemy bez pamięci. Być może nawet bez osobowości i charakteru. Dlatego trzeba wciąż i wciąż wypełniać tę pustkę Nowym.

Pęknięcie. Rozłam. Rozbicie. To oznacza ból. I długotrwały proces gojenia i zablźniania się ran. Podobno ślad blizny jest mocniejszy niż pozostała materia. A to już daje jakąś nadzieję. Zachęca do aktu tworzenia. Scalania.

Japończycy do perfekcji doprowadzili i wynieśli do poziomu sztuki proces takiego zablźniania potłuczonej ceramiki czy porcelany laką i złotem. *Kintsugi* to już nie tylko sposób na naprawienie zniszczonego naczynia. To wręcz duchowe doświadczenie odwracania nieodwracalnego. Nadawania mu nowego charakteru. Jakości. Piękna.

Pęknięcie. Rozłam. Rozbicie.

łączenie. Zablźnianie. Trwanie.

Prof. Jolanta Brach-Czaina w *Szczelinach istnienia* pisała:

[...] codzienność jest nie tylko bezpieczną, płytką laguną nieruchomej nudy, lecz także samym środkiem bytowania, miejscem podstępnej, głębinowej, nieprzejednanej walki sił istnienia i unicestwiania.

Co wygra? Kto zwycięży?

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna Pegaza

POCHÓD WYMARŁYCH GWIAZD

Beata Patrycja Klary-Stachowiak

W naszych płucach osiadły cząstki pierwszej matki, głębiej niż korzenie najstarszego drzewa. Z każdym oddechem, całym latami, wzbudzając niepokój bijącego źródła.

Kiedy rzęsy granicą okrawają światło odchodzimy niespiesznie w miraż pokoleń. Od wewnętrznej strony jesteśmy zagadką, rybitwą w locie bez jednego skrzydła.

Nazywamy to jednią pełnego rozkładu lub trwałą monadą w ciągłym odradzaniu. Osobnością każdego wobec granic świata, który nie ma granic w swej nieobecności.



BEATA PATRYCJA KLARY-STACHOWIAK: poetka, krytyczka literacka, animatorka kultury. Współorganizatorka spotkań FurmanKa w drodze, organizatorka festiwalu HopLem i wielu autorskich inicjatyw kulturotwórczych. Autorka kilkunastu tomików poetyckich, m.in. *Szczekanie głodnych psów*, *De-Klaryacje*, *Misterium Solitera* czy *Martwia* oraz książki kulinarno-poetyckiej *Wege nad Wartą*. Stypendystka Stowarzyszenia ZAiKS, Fundacji im. W. Szymborskiej, Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Laureatka wielu konkursów literackich, w tym trzykrotnie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

KOMETA

Barbara Schroeder

Kochana Irenko – byłaś Osobowością Niezwykłą, oryginalnym talentem poetyckim i malarskim... Barwnym ptakiem. Byłabyś zaskoczona, ile szczerego niedowierzania, ogromnego żalu i ciepłych wpisów znalazło się na FB pod moją informacją o Twoim odejściu... Zawsze pomniejszałaś to, co tworzyłaś, wydawało Ci się, że mało kto to docenia. Jakże się myliłaś!

Przepięknie epitafium zamieścił na FB prezes Instytutu Witkacego z Warszawy Przemek Pawlak. Między innymi napisał:

Irena Zielińska była niezwykłą gorzowską poetką, malarką i graficzką, członkinią Związku Literatów Polskich, stypendystką Prezydenta Gorzowa, maleńką kometą, która przeleciała z błyskiem przez ziemską czasoprzestrzeń i właśnie opuściła naszą galaktykę w poszukiwaniu innych, nieeuklidesowych, sferycznych, czysto formalnych światów. W 2018 r. wyróżniona nagrodą Instytutu Witkacego i Pucharem Jurora Ukrytego w 21. Konkursie Witkacy pod strzechy w Słupsku [...].

Na koniec swojego wpisu Przemek dodał: *Leć do przyjaźniejszych mgławic, odpocznij od naszej grawitacji, może tam spotkasz swojego Witkusia.*

Zadzwoiła też do mnie zrozpaczona Anna Maria Adamiak, piosenkarka z Warszawy, która śpiewała piosenki z Twoimi tekstami i muzyką Andrzeja Zaryckiego. Poznałyście się w Krakowie w Piwnicy pod Baranami, gdy uczestniczyłaś w koncercie, zaproszona przez pana Andrzeja... Anna mówiła, że od tego pierwszego spotkania stałaś się jej bardzo bliska. Potem nagrała płytę „Poczekaj na dotyk”, na której znalazło się pięć Twoich piosenek.

Kochałaś muzykę i poezję. Słuchałaś piosenek Anny Marii Adamiak, Elżbiety Wojnowskiej, Ewy Demarczyk, Marka Grechuty, Jacka Wójcickiego, Wojtka Młynarskiego, Waldemara Koconia, kompozycji Andrzeja Zaryckiego, którego uwielbiałaś jako człowieka i kompozytora, a który darzył Cię swoją przyjaźnią i utrzymywał z Tobą stały kontakt mailowy i telefoniczny.

Jak sama mówiłaś i pisałaś, muzyka była dla Ciebie nieskończonością uczuć.

Pisałaś, że muzyka łączy ludzi i łączy Istność Wszelaką i także Prawa Moralne Ustanawia. Mądra Muzyka niweluje chaos w świecie, jest dotykiem pod ciepłą tkaniną skóry...

Ciszę lubiłaś tylko w harmonii trwania i tworzenia.

Ceniłaś mądrość myślenia i rozumienia. Byłaś bardzo czytana. Często cytowałaś Ryszarda Kapuścińskiego, Konstantego Ildefonsa Gabczyńskiego, który był Twoim Maestro Poezji, Pabla Nerudę, Senekę czy też Stanisława Jerzego Leca...

Tak ogólnie lubiłaś ludzi mądrych, bo jak pisałaś: *od nich się uczę...*

Trzy książki były Ci szczególnie bliskie: „Folwark zwierzęcy” Georga Orwella, „Dżuma” Alberta Camusa oraz „Przygody dobrego wojaka Szwejka” Jaroslava Haška. Zaśmiewałaś się w głos, czytając tę ostatnią.

Miałaś też dużą dozę autoironii. Na zawsze będę pamiętać Twoje wpisy na FB. Jeden z nich tu zacytuję:

O czym myślisz? – pyta mnie komputer

Otóż to. Oddaliłam się, spojrzęłam w lustro.

Oj, jaka ty brzydka Irena jesteś, że aż piękna.

Taka jakaś pomieszana wg kanonów urody Frankensteina i Lollobrigidy.

Idę maseczkę z kiszonych ogórków nałożyć na twarz.

Jutro będę pięknotką – obiecuję

Pisałaś: *Czytanie sprawia, że w nas rośnie Las Mądrości i szumi szelestem kartek, bo to właśnie tak jest, że pomiędzy kartkami książki pulsuje Wiedza...*

Irenko, tworzyłaś, bo chciałaś zostawić po sobie coś bardzo prawdziwego, coś co Ciebie dookreśli. Uważałaś, że wiersze powinny rodzić się z prawdziwości życia, a nie sypać się jak z rękawa... *A prawdziwy Artysta powinien mieć swoją rację i nie poddawać się czasowi, w którym aktualnie żyje, ani też modnym trendom, które pętają jego wyobraźnię i odbiór aktualnego czasu. Powinien tworzyć ponad czas, nawet za cenę własnego cierpienia.*

Pisałaś: *tworzę też wiersze dla biednych, opuszczonych i dla tych, dla których los okazał się spiralą.*

Twój umysł syntetycznie odbierał otaczający Cię świat, a Ty potrafiłaś ubierać swoje odczucia w słowa, które były niewiarygodnie trafnie dobrane i zestawiane. W swojej twórczości przekazywałaś uczucie przerażenia światem i dojmujące poczucie samotności.

To Twoje słowa: *Nigdy, ale to przynigdy nie będę dążyła do sukcesu, bo sukces w dzisiejszym świecie jest jak kłęska. Żyjemy w tzw. utartym systemie myślowym, który niczego nie wnosi, ale przed dziwolągami słów kłęka. Dziś powinniśmy pisać jasno – jasno i przestrzennie, ażeby zrozumieli nas Wszyscy.*

Od urodzenia wielce krucha i słaba fizycznie, tworzyłaś z niesamowitą ekspresją i prawdą, jaką wyznawałaś. Skarzyłaś się Mamie: *Kochana Mamusiu, muszę sobie dać radę ze sobą, choć inni mnie poniżają, że jestem inna...*

Sama zaakceptowałaś swoją inność, bo byłaś asertywna. Mówiłaś: *nie jestem inwalidką. Mam tylko liche ciało, ale mądrą głowę.*

Wyznawałaś zasadę: *Idę swoją drogą tak, jak chcę, we własnym tempie. Może upadnę, może skręcę nie tam, gdzie trzeba i wiele razy powtórzę daną lekcję. NIEWAŻNE. To moja droga, moje życie, moje błędy, moje słabości i moja siła, która z nich powstaje.*

Twierdziłaś: *Człowiek jest zawsze samotny, kiedy myśli po swojemu i nie poddaje się hysterii tłumu. Myśli wtedy rozważnie, analizuje, docieka przyczyn i stanu rzeczy i zdarzeń.*

Taka byłaś... Zawsze myślałaś samodzielnie. Ale także bardzo lubiłaś dyskutować z ludźmi, których ceniłaś za wiedzę. Twierdziłaś, że *pycha podobna jest do żądła owada, które, gdy uktuje ciąto, to to ciąto puchnie i przez to człowiek myśli, że jest bardziej widoczny. Skromność zaś przejawia się w tym, że po uktuciu człowiek odczuwa ból istnienia, ale nie puchnie, bo od razu leci do sklepu po ocet.*

Napisałaś nawet aforyzm irenejski pt. „Pycha i skromność”:

Nie dążmy do tymczasowej sławy, która wcale nie jest Wieczną Wartością, Działajmy w kierunku Uczłowieczenia Natury i wreszcie sami się uczłowieczmy. Bądźmy ludzcy.

Byłaś niezwykle skromna, empatyczna i ogromnie wrażliwa, a właściwie nadwrażliwa... co, odbija się w Twojej twórczości.

Lubiłaś słowo PRZYJAŃ, bo jak pisałaś *ONO lubi nas takimi, jakimi jesteśmy.*

Urodziłaś się w Gorzowie, ale większość życia mieszkałaś w Międzyrzeczu, aż do 2 kwietnia 2015 roku, gdy z powrotem stałaś się gorzowianką. Mówiłaś jednak: *nigdy nie zapomnę Międzyrzecza, bo to moje miasto.*

Kochałaś ludzi... Chętnie znajdowałaś się w gronie, w którym mogłaś być sobą.

Twój apetyt na życie, na uczestniczenie w nim, na spacer, najpierw mocno ograniczyła pandemia, a potem złamana, niegojąca się miesiącami noga. Od ponad dwóch lat uwięziona w swoim małym wynajmowanym mieszkaniu, z biegiem czasu czułaś się jak ptaszek objający się swoimi małymi skrzydełkami o pręty klatki. Im dłużej to trwało, tym ta niemożność wydostania się na zewnątrz nadwątlała Twoje siły i coraz bardziej wpędzała Cię w poczucie ogromnej samotności i wyobcowania z realnego świata. Cytowałaś swoją Mamę, która mówiła, że trudności kształtują charakter człowieka i że nikt nie obiecał, że Twoje życie będzie dobre,



Foto: archiwum prywatne Ireny Zielińskiej

łatwe i przyjemne. Zaciskałaś więc swoje małe piąstki, by jak najsamodzielniej zmagać się ze swoim okrutnie trudnym życiem, w którym tak niewiele było radości.

Pytałaś:

dlaczego Drzewo Losu cicho we mnie płacze?

Ja nie wiem dokąd, dokąd biec?

Czy zdążę jeszcze...

W ostatnim czasie byłaś coraz bardziej znerwicowana, wręcz w depresji, udręczona samotnością, zbolata koniecznością przyjmowania pomocy od osób trzecich, a bardzo chciałaś być samowystarczalna. Bardzo bałaś się litości, więc podsuszałaś od siebie wiele osób, które chętnie by Ci pomogły ze szczerego serca.

Jednak cały czas tęskniłaś za okruciami serdeczności ze strony rodziny, bo rodzina była dla Ciebie najważniejsza...

Byłaś uparta. Nie można było Ciebie przekonać do niczego, co nadwyrężyłoby Twoje pojęcie samostanowienia o sobie...

Byłaś zbolata i zmęczona chorobą oraz troskami dnia codziennego (szwankowaniem komputera, który był Twoim oknem na świat, słuchawek, przez które słuchałaś ukochaną muzykę, ciągle jakimiś awariami wodno-kanalizacyjnymi, niespodziewanie ogromnym rachunkiem za rozliczenie wody... itp.).

Jednak w ostatnich dniach, gdy było już trochę więcej słońca, to i w Ciebie wstąpiła nadzieja, że najtrudniejszy okres masz już za sobą. Ogromnie chciałaś wyjść ze swojej samotni. Czekałaś niecierpliwie na buty z korektą ubytku długości kości w lewej nodze, które zamówiłaś z nadzieją, że będą lekkie, nie będą Cię ocierać, które wreszcie pozwolą Ci wychodzić z domu. Obiecałaś, że dasz się na kilka dni zabrać do mojego domu w rybakowskim lesie, w którym kiedyś bywałaś tak często. Zaczęłaś się z powrotem otwierać na ludzi. Wykonałaś nawet kilka telefonów do dawno niewidzianych osób, z którymi planowałaś się spotkać.

Mimo tak trudnego losu chciałaś żyć i tworzyć. Miałaś w najbliższym planie napisanie kilku esejów...

Jednak LOS zdecydował inaczej...

Niech Ci tam, gdzie teraz jesteś, będzie lepiej niż na Ziemi. Niech Cię teraz przytulają obie Mamy, Twoja i moja, która także Ciebie kochała.

Spoczywaj w pokoju, KOCHANA

BARBARA SCHROEDER: społeczniczka, animatorka kultury. Założycielka popularnego klubu Na Zapiecku oraz fundacji o tej samej nazwie. Laureatka wielu nagród i wyróżnień za działalność społeczno-kulturalną. W 2022 roku uhonorowana Motylem – nagrodą kulturalną prezydenta Gorzowa.



IRENA ZIELIŃSKA

Ja nie wiem co jest moim znakiem
i jakiego mam
szukać drogowskazu
Czy na mej drodze krople wiatru
zamieniają się
w chmur dreszcze
Dlaczego Drzewo Losu cicho we mnie płacze
Ja nie wiem dokąd, dokąd bieć
i czy zdążę jeszcze

Jak żebaczka

Pod rozwartymi lunatycznie
ramionami nieba
tylko jedna ściana
chwiejna
a ona biedna
żebrze
oparta o plecy powietrza
tapiąc w dłonie
krztynę wiatru
nawet pustego domu
nie ma
nie ma ściany żadnej
szarpie ją tylko
za poły duszy
chłodny
przewiew losu
sięda z horyzontów
jak chusty
kładą cienie
na oczy

a ona
skulona siedzi
przed wiatrem
przed zimnem
przed zamkniętymi
drzwiami
rozwalonego domu
jak figurka
ze zmrożonego szkła
pod katedrą z mgły
żebrze
o Obecność
ludzie litują się
lecz omijają
siedzi zwinięta
pod ciemnym kloszem
dookoła samotność
i drzenie ramion –
takie zwichrowanie skrzydeł losu
i ptaków

Tu

Tu
 na ziemi
 nie można iść samemu
 tu zbyt mało miejsca
 na pojedyncze trakty
 zbyt lekka tu ścieżka
 na ciężar jednego wysiłku
 Tu
 trzeba krok sobie podawać
 jak rękę innym
 aż do samej
 w łuk wygiętej
 pachnącej
 naramiennicy obłoków
 Więc być
 oznacza
 żyć pełniej
 w dwóch ciałach
 w kilku krokach
 w kilku tańcach naraz
 czuć się rywalem przestrzeni

i wtedy
 rąk nie darować
 odbierać je sobie
 by oczom
 tylko własnym
 nie wierzyć
 Tu
 trzeba patrzeć
 otwartymi oknami powiek
 na pamięć
 by odwrotną stroną istnienia
 nieprzemijającym widokom
 objawiać się
 Tu
 trzeba drogą zwykłą
 prostą –
 z rozchwianymi
 płomieniami palców
 pędzić
 w nieskończoność

Mówcie

Wy mówcie
 a ja
 będę pilnowała powietrza
 co odpryskuje
 kroplą słowa na wietrze
 I nawet nazwane
 przeze mnie
 traci miarę
 Na własnych słowach
 się rozwieszam
 rozgryzaczka
 wszystkich znaczeń
 Wy mówcie

czas w przetyku
 kolcem staje się
 z ust moich
 wywożą słońce księżyc niebo
 i powietrze
 i rozwieszają je nad światem
 niczym kosmiczną moskitierę
 Wy mówcie
 a ja będę pilnowała
 powietrza
 co odpryskuje kroplą
 srebrnych
 śpiewnych wiatrów

Istota

Wcale nie powinno to nikogo
 obchodzić
 gdzie i kiedy
 i po co
 urodził się poeta
 i po co tworzył
 Tworzył bo musiał tworzyć
 piękniejszy świat
 niż jego czas
 te chmury na niebie
 które jednak układają się
 w misterium znaczeń
 i
 morze falujące
 ogień
 który nie spopiela stów
 powietrze

którym oddycha
 ziemia po której chadza
 światło
 i ciemność
 W jego życiorys wpisane
 drzewa
 ptaki
 ludzie
 kamienie
 i
 wszystko co ma
 formę niewidzialną
 do końca nienazwaną jeszcze
 i tę –
 która w nazwaniu
 znalazła
 sens

IRENA ZIELIŃSKA: poetka, eseistka, autorka tekstów piosenek, malarka. Debiutowała w 1998 roku tomikiem *Oceania Irenejska*. Wydała także tomiki: *Naga rzeka* (2003), *Przytapania na istnieniu* (2011), *Przepraszam za wiersze* (2021) i *Obroty ciała nijakiego* (2022). Laureatka Honorowego Wawrzynu Literackiego 2021. W 2023 roku otrzymała stypendium artystyczne prezydenta Gorzowa, dzięki któremu wydała ostatni tomik *Irkacyki i wiersze*. Zmarła 18 kwietnia 2023 roku.



Foto: archiwum prywatne Ireny Zielińskiej

PĘKNIĘCIA

Łucja Fice

Mija dwadzieścia lat, od kiedy w moim życiu nastąpiły zmiany. Pracowałam jako opiekunka osób starszych i to doświadczenie mnie zmieniło. Na taśmie mojego życia pojawiły się rysy. Wielu, z którymi się zaprzyjaźniłam, odchodziło. W czasie pracy z ludźmi chorymi przychodzi transformacja ideowo-duchowa. Wobec dramatu śmierci przyjmę postawę bezstronnego obserwatora, któremu bliski jest pokartezjański dualizm poznawczy, podkreślający odrębność myśli od jej obiektu. Wówczas do śmierci podchodziłam jak do widowiska, czyniąc z niej swego rodzaju teoretyczny problem, łatwo poddający się władzy intelektu oraz możliwości racjonalnej eksplikacji. W pracy z ludźmi chorymi w ich dniach ostatnich najważniejsza jest pokora. Wtedy nie miałam jej w sobie. Od tamtej pory powoli, powoli poddawałam się procesowi przemiany, który zaowocował wewnętrznym rozłamem, jak by moja dusza doznała za pomocą siły wyższej pęknięcia. I właśnie owe pęknięcia spowodowały, że nie zamieniłam się w kamień. Pracowałam z ludźmi, którzy nie uczyli mnie wielkich prawd, ale wskazywali drogę. Były to bardzo religijne, ufające Bogu koleżanki z Filipin. Dopiero rozbita duchowo mogłam uświadomić sobie wartość, jaką stanowi życie. To były dobre lekcje. Nauczyły mnie dotykać ludzi chorych w ich dniach ostatnich odpowiednim słowem, bo słowo potrafi wskrzesić człowieka na nowo albo zamienić w piasek. Ten hołd i ukłony pełne respektu wobec starości i śmierci oddałam w moich książkach. Życie – niezależnie jak jest radosne i cudowne – to zarazem pełne jest cierpienia i krótkie. Oczywiście, wykorzystuję je, jak najlepiej potrafię i nie udaję, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. To jest najokrutniejszy żart tego świata.

Moja konkluzja.

Jeśli nie pochodzimy od małp, to skąd się wzięliśmy? Myślę, że ewoluowaliśmy w formę człowieka z czysto duchowej materii. A więc śmierć nie istnieje. To tylko schizofrenia naszego umysłu. Ktoś powiedział: *Jeśli chcesz się przekonać, że śmierci nie ma, to zaryzykuj umrzeć...*

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarkach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie, Wyspa starców, Za kryształowym lustrem*) oraz wspomnień *Druka strona grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.

Jerzy Hajduga

Pośmiertna szata

po tobie uczę się chodzić
w długiej koszuli

mam czas

nawet nocą
jak zdjęta

ze mnie

To dziecko jest moim mężem

na mój widok
już nie
ukłękiesz

jesteś mi blisko
palcem
tyżeczką

wycierasz kąty
kąciki
ust

jeszcze wiesz
sam nie
usiądę

tylko klaps
trzyma się
pupy

Ostatnia odstona

właśnie weszła
jakim cudem

akurat do mnie
patrzy co by
jeszcze

ściąga bliższe
najbliższe
ciału

mówi że to
nie koniec

Wstań

a może choć na chwilę
odpocznij od cudu

wyciągam cię
z wózka

jutro minie
rok

nawet nie wiesz
jak trudno

sobie
wyobrazić

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpuść od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwilę* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022). Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego „Ten pusty krzyż” wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

Janina J. Jurgowiak

WIOSNA W OW CZARACH

Namaluj blask mgły szept wiatru
mżawką na tąkę skowronków
Pierwiosnek wznosi głowę wśród Życicy
i Wyczyniec wkrótce kłosem wystrzeli
namaluj bociani klekot
szczebiot jaskótek nad Mozgą i
Rajgrasem Wyniosłym
dotknij pędzlem liścia Poziomki
we włosach Brzozy dostrzeż
zielony raj OW CZARÓW

I CZAS UMIERANIA

Nie szedłeś słabnącym oddechem
w stronę ciemni
nie miałeś czasu by zebrać całą wolę mocy
i wywlec siebie do światła
nawet nie mogłeś chcieć
powstrzymać pędu w bezradną pustkę
Czas skurczył się do jednego spazmu

RZEKA

Można cię malować piórem pędzlem
tysiąckrotnie jednakowo zmiennie
boś wciąż inaczej ta sama
śpiewasz tak samo odmiennie
chmurna słoneczna błękitna
szepczesz w głębi opowieści prawdziwie zmyślone
pokazujesz świat na opak
odwrócone miasto które nie widzi siebie

JANINA JURGOWIAK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopiśmie i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*, a w 2019 – tomik *Wersje i dywersje*. Stypendystka prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego.

GASTHOF ZUR GOLDENEN KUGEL

Hanna Bilińska-Stecyszyn

*

- Za okupacji zupeł z lebiody jedliśmy, taki głód był – mówi niespodziewanie babcia Helena. Choć poganiała, żeby nie spóźnić się na obiad, teraz co rusz się zatrzymuje. Ocierając pot z czoła, wskazuje mi kępę zielonych badyli na skraju drogi.
- Zupa z chwastów? – robię wielkie oczy. – Smaczna była?
- Człowiek głodny wszystko zje. Łyzka mąki, ziemniaki, choć też nie zawsze mieliśmy, dużo lebiody. I jadło się bez gadania.
- Ale skąd takie chwasty w Warszawie? – dziwię się. Byłam tam kiedyś z babcią, widziałam przecież te wieżowce, szerokie ulice, tramwaje, piękne parki.
- Oj, dziecko, w stolicy już była wtedy kupa gruzów porośniętych zielskiem. I grobów. A po powstaniu nas wypędzili...

Rezygnuję z dalszych pytań, bo już widzę łzy w babci oczach. Jak zawsze, gdy wspomina wojnę.

Wracamy od pani Krzaczkowej. Ona i Helena to koleżanki jeszcze z Warszawy. Odnalazły się po latach, gdy babcia do nas przyjechała na święta i któregoś dnia spotkały się przypadkiem w sklepie. Wciąż wspominają swoje miasto, a gdy mówią o tym jakimś powstaniu, o tułaczce, bez chusteczek nie może się obejść.

Dziś, żeby mi się nie nudziło, pani Krzaczkowa pokazała, gdzie w jej ogrodzie rosną gubinki. Wystarczy dobrze potrząsnąć i śliwki same zlatują na trawę. Stodziutki, a jak pachną! Powiedziała, żeby znowu przyjść, to sobie nazbieramy na dzemy i kompoty.

- Mogłabyś kiedyś narwać tej lebiody, zrobię ją na obiad jako szpinak, spróbujesz. Tylko musisz uważać, żeby nie z mszycami – babcia przestała pociągać nosem i sama wraca do tematu.
- Dobrze – zgadzam się bez entuzjazmu. Lubię szpinak, ale na razie na samą myśl o jedzeniu boli mnie brzuch. Za dużo chyba zjadłam tych śliwek.

Zakurzona droga, którą się wlecjemy, biegnie tuż obok Lubicy, wśród wysokich klonów i kwitnących lip. Lecz nawet w cieniu jest niewiele chłodniej. Koło mostu masa dzieciaków kąpie się w rzece, też bym chciała choć na pięć minut wskoczyć do wody. A po obiedzie umówiłam się z koleżankami do ogródka jordanowskiego, tam też się można fajnie pochlapać.

Przyśpieszam kroku, lecz babcia znów przystaje.

– Gorąc jak w piecu – mruży. – Nie pędź tak. Weź mnie, dziecko, pod rękę, będzie mi łatwiej iść.

Babcia Helena utyka. Ma straszne żylaki. Lewą tydkę całą w czarnych gruzłach, aż nieprzyjemnie patrzeć, gdy rano owija ją szczególnie grubym bandażem. Lecz w taki upał nawet to nie pomaga. Widzę, jak krzywi się z bólu.

– Pomalutku. Zaraz będziemy w domu, wezmę lekarstwo – mówi ni to do mnie, ni do siebie.

★

Na obiad ugotowała zawieszisty eintopf. Trochę za gęsty i zbyt tłusty jak na taki upalny dzień, ale przynajmniej wystarczy na dwa dni. Potem na podwieczorek chwyciła w biegu kawałek ciasta ze śliwkami, nie mając czasu nawet przysiąść.

Pora na filiżankę kawy. Za chwilę. Johanna Müller musi jeszcze pozanosić do hotelowej restauracji pachnące czystością, sztywne od krochmalu obrusy. Szczęście, że Karl jej pomaga, choć i on ma masę swoich zajęć. Dobrze mieć takiego męża. Paula, jedyne go syna, też wychowali na porządnego człowieka. Tylko że on teraz, biedak, tak daleko od domu. W Polsce. Nie wiadomo, kiedy dostanie urlop. Może zobaczą się dopiero na święta, a to jeszcze kawał czasu.

Pani Müller potrząsa głową, próbując odpędzić złe myśli. Serce zakuło, aż na moment zabrakło jej oddechu. Przyciska dłoń do piersi. Ale nie ma co się roztkliwiać, trzeba się uwijać. Zdejmuje poplamione obrusy, zastępując je wypranymi, pozostałe układa w szafie, będą na zapas. Restauracja już świeci pustkami, tylko barmanka i kelner Markus jak zwykle flirtują przy kontuarze.

– Jeszcze te ręczniki i serwetki, a ja muszę trochę postukać – Karl Müller, przekazując żonie resztę wymaglowanych rzeczy, wyciąga z przewieszzonej przez ramię torby młotek i kilka gwoździ. – Ten stolik pod oknem już za mocno się kiwa. Naprawię i zaraz do ciebie przyjdę. Zrób mi też coś do picia, gdy będziesz parzyć, dobrze?

– Oczywiście, kochany. Jakże mogłabym zapomnieć o naszej kawie.

– I małym kieliszeczku sznapsa! – dorzuca mąż.

★

Wczoraj z tatą, gdy wrócił z pracy, pojechaliśmy na rowerach na pole, gdzie roste pełno lebiody, i dziś na obiad jedliśmy ten babciny lebiodowy szpinak. Do jajek sadzonych i ziemniaków z koperkiem, do tego zsiadłe mleko. Pyszności!

– Chyba pęknę – oznajmiam.

– Wcinałaś, aż ci się uszy trzęsły – cieszy się babcia, głaszcząc mnie po głowie.

Lubię, gdy babcia nas odwiedza albo gdy ja jeżdżę do niej. Opowiada tyle ciekawych historii. Chociaż prawie wszystkie są smutne. Po wojnie musiała z dziadkiem i z moim tatą uciekać z Warszawy i zamieszkać w Poznaniu. Tam poznali się moi rodzice, potem się wyprowadzili do Gubina i teraz babcia z dziadkiem tu do nas przyjeżdżają. Choć minęło już ponad dwadzieścia lat, babcia wciąż nie może zapomnieć ukochanej stolicy. Kiedyś mnie tam zabrała. Nocowałyśmy wtedy u cioci Broni na Żoliborzu. Babcia woziła mnie tramwajem po całym mieście, pokazywała różne zabytki. Nawet byliśmy w Pałacu Kultury, ale powiedziała, że to nie zabytek.

– Ruskie nam postawili, a kto ich prosił? – dodała.

Przed wojną była praczką na Powiślu. Kosze z praniem do klientek odnosili mój tato i jego starszy brat, którego potem zastrzelili Niemcy.

– Z twojego ojca był niezły miglanc – po lebiudowym obiedzie i pozmywaniu naczyń snuje babcia swoją opowieść. – Jak coś zbroił, to przed pasem uciekał na dach. Wymykał się przez takie wąskie okienko, wiedział, że się za nim nie wcisnę, później wracał cały czarny od sadzy. Co, nie było tak? – mruga porozumiewawczo w stronę taty, który udaje bardzo czymś zajętego. – Kazik był spokojniejszy niż Dziunek – dodaje babcia po chwili i sięga po chusteczkę.

Dziunek albo Edziunek to Edward, mój tato, a Kazik to jego brat, ten zabity w powstaniu. Dlatego babcia tak popłakuje, gdy przypomina jej się wojna. I nienawidzi wszystkich Niemców. „Te cholerne Szwabysy”, mówi o nich. Albo „te Szkopy”. Kiedyś chciałam ją zaprowadzić aż nad Nysę, tam jest taka dzika, zarośnięta wyspa, a po drugiej stronie za mostem widać domy w Guben. Na dachach mają pełno anten telewizyjnych! Powiedziała, że na tych faszystów nawet z daleka nie chce patrzeć, i poszłyśmy znowu na te nudy u pani Krzaczkowej.

Znam jedną wielką tajemnicę mojej babci. Nie umie czytać! Przed rokiem, gdy skończyłam pierwszą klasę i byłam u niej w Poznaniu, listonosz przyniósł pocztówkę od cioci Broni.

– Zosiu – zawołała mnie wtedy – co ona tu pisze? Okulary mi się gdzieś zapodziały...

A przecież zauważyłam, że okulary ma w kieszeni fartucha.

Mama mi później powiedziała, że babcia wcale nie chodziła do szkoły, bo w jej rodzinie było dużo dzieci i wielka bieda. Ktoś musiał zostać w domu i pomagać. Potem poszła do fabryki, a kiedy wyszła za dziadka Michała, trafiła jej się ta pralnia. I magiel.

Teraz już wiem, dlaczego gdy dziadek przyjeżdża do nas na lato i z babcią na balkonie jedzą podwieczorek, on jej zawsze na głos odczytuje różności z gazety. Ale wszyscy udajemy, że wierzymy w te stale gubiące się okulary.



Kiedy te gorączki wreszcie się skończą? Pani Müller uchyla okno, lecz natychmiast je zamyka, bo do środka, mimo że zbliża się wieczór, wpada jedynie żar rozprężonej ulicy. Może dopiero noc przyniesie ochłodę.

Sypie do dzbanka świeżo zmieloną kawę, zalewa wrzątkiem. Na kolację została reszta z niedojedzonego w pośpiechu śniadania, wystarczy. Coraz większe te ograniczenia i oszczędności. Prawdziwą kawę Müllerowie nauczyli się pić, pracując w hotelu przy Pförtenerstraße. Zajmują tu służbowe mieszkanie na zapleczu, pokój do spania i tę małą kłitkę, którą przerobili na kuchnię. Jak dobrze, że gospoda wciąż ma dostawy i jeszcze spore zapasy, to i pracownikom też zawsze coś skapnie. Tylko ostatnio Johanna do swojej filiżanki dolewa więcej wody, bo to serce tak czasem dźgnie. Lepiej uważać.

Wyciąga z kredensu fajansowe kubeczki, przez chwilę przygląda się namalowanym na nich obrazkom. Złota kula... Jak dzisiejszy księżyc, który za parę godzin znowu nie da jej się wyspać, bo jest pełnia. Kawa pod wieczór to nie najlepszy pomysł, ale sznaps na pewno pomoże choć trochę.

Nareszcie można usiąść, wyciągnąć nogi, opuchnięte od całodziennej krzątania. Z głośnika dobiegają rytmiczne dźwięki marsza, tuż po nich zaczynają się wiadomości. Johanna kręci gałką, żeby lepiej słyszeć, chciwie łowi informacje o wspaniałych zwycięstwach na wszystkich frontach. Może się dowie czegoś o Paulu.

– Ścisz to! – Karl wchodzi do kuchni, zmierzając w stronę zlewu, by umyć zabrudzone dłonie. – Nie mogę znieść tego wrzasku. Znowu bajdy o niezłomnych niemieckich bohaterach?

– Ciii... Co ty wygadujesz, przecież to nasi chłopcy. O nich właśnie mówi führer, daj posłuchać – protestuje Johanna.

– Nie rozumiesz, że to szaleniec? – Karl jeszcze bardziej podnosi głos. – Nic dobrego z tego nie będzie, zobaczysz. Mało ci, że jedyny syn na froncie? Willy, Gerhard, Joseph, tylu jego kolegów już zginęło! Mało ci? – powtarza, szarpiąc pokrętko radioodbiornika tak mocno, jakby chciał je wyrwać.

Johanna rzadko widuje męża tak zdenerwowanego.

– Wypij – prosi, nalewając kawę do kubeczków. – I zjedz coś.

Müller ciężko opada na krzesło i podpira czoło dłonią, której brakuje dwóch palców. Pamiętka po tamtej wojnie, z okopu we Francji, gdy granat nadszarpnął mu rękę i zmasakrował twarz. Jakoś się wykaraskał, zostały tylko blizny na policzku i przystonięte opaską lewe oko.

– Zastrany wódz. Już mi się tej kawy odechciało – mówi ze złością. – Wódki sobie naleję. Chcesz też?

- Kochany, nie złość się. Może masz rację – wdycha Johanna, głaszcząc go po ramieniu.
- Nienawidzę tego krzykacza! – Karl robi głową ruch w kierunku milczącego już głośnika. – Nienawidzę wojny.

Dopiero w tym momencie pani Müller zauważa, że mąż nie domknął drzwi. Tuż obok, po przeciwległej stronie niedużego korytarza, znajduje się hotelowa recepcja. Panna Elsa przed kwadransem przyszła na nocny dyżur i chyba też swoje drzwi zostawiła otwarte.

A jeśli usłyszała ich rozmowę?

*

Budzi mnie radio grające w kuchni. Jarema Stępowski wyśpiewuje na cały głos „No to jadziem na Bielany”. To ulubiony artysta mojej babci, bo śpiewa o Warszawie.

Jest wczesny poranek, a kuchnię już przepetnia słodki zapach. Mama stoi przy rozgrzanej płycie i miesza drewnianą łyżką w wielkim rondlu. Robi dżem z tych śliwek od pani Krzaczkowej.

Babcia w okularach na nosie siedzi obok i coś szyje.

- Ceruję twoje rajtuzy. Wypałaś się? Zaraz ci zrobię kluseczki na mleku – mówi na mój widok.
- Podaj babci mleko i jajko. I ten kolorowy kubeczek – dodaje mama.

Wiem, o który chodzi. Ten stary, z obrazkiem i napisem „Gasthof zur Goldenen Kugel”, w jednym miejscu trochę nadtłuczony. Mama zawsze w nim robi ciasto na lane kluski albo zasmażkę do zupy.

Wyjmuję kubek z kredensu.

- O, co to za antyk? – Babcia ogląda go z każdej strony. – Napisy jakieś... Przeczytaj – zwraca się do mnie. – Gdzieś posiadałam okulary.

Sama w tej chwili jestem zdziwiona, czemu dotąd nie przyszło mi do głowy spytać, co znaczy napis, ale tyle razy go widziałam, że znam na pamięć.

- Gasthof zur goldenen Kugel! – recytuję z dumą.
- Cur goldenen – poprawia mnie mama. – To po niemiecku i „zur” się czyta jak „cur”.
- Jeszcze tylko brakuje, żebyś ją szwabskiego zaczęta uczyć! – Babcia, nagle rozłoszczona, z hałasem stawia kubek na stole. Jajko wbija do niego tak gwałtownie, aż część białka wycieka na ceratę.

Milczymy wszystkie przez kilka minut, tylko radio wciąż nadaje wesołe piosenki. Wreszcie babcia podaje mi talerz z mleczną zupą, potem wychodzi bez słowa.

*

– Pani Müller, mogę prosić na chwilę? – do kuchni dobiega głos panny Elsy i Johanna sztywnieje.

– Jednak słyszała – mówi szeptem, przykładając palec do ust, by nakazać mężowi milczenie. – Już idę! – woła, zrywając się z krzesła, choć nogi ma jak z waty.

Elsa Mertke, zerkając do lusterka, kończy malować usta krwistoczerwoną pomadką i poprawia swoje blond loki.

– Może mi pani zaparzyć kawy? – pyta. – Głowa mnie strasznie boli, a jakoś muszę przeżyć noc.

– Już biegnę, panno Elso. – Johanna oddycha z ulgą. – Mało dziś gości. Pewnie nikt więcej nie przyjedzie, będzie spokój.

– Tak pani sądzi? – W pytaniu panny Elsy Johanna słyszy ironię i znów zaczyna się bać.

– Zaraz wracam z kawą.

– Chwileczkę. Co pani taka zdenerwowana? Poktócili się państwo?

– E, takie tam małżeńskie przekomarzanki. Niegroźne. – Johanna usiłuje nadać głosowi beztroskie brzmienie.

– Przecież słyszałam. Taka zgodna para i nagle kłótnie? Ciekawe, o co? – Tym razem to już nie ironia. Pytania niczym lodowate sztylety dźgają Johannę prosto w serce.

– Naprawdę nic ważnego. Żartowaliśmy sobie... – usiłuje przekonać rozmówczynię.

– To państwa sprawy – Elsa wzrusza ramionami. – To co, dostanę tę kawę?

– Chciała kawy. – Po powrocie do kuchni Johanna szczelnie domyka drzwi. – Ale... Ona wie, słyszała nas – wyrzuca z siebie, zniżając głos do szeptu.

– Jesteś błada, usiądź – zaniepokojony Karl obejmuje żonę, lecz ta odpycha jego ramię.

– To przez ciebie – w jej oczach pojawiają się łzy. – A jeśli ona nas zdradzi? Zawiodomi swojego kochasia?!

– Jakiego znowu kochasia?

– No, tego Fritza z posterunku.

– Tego grubasa? Przecież on ma żonę i dzieci, co ty za plotki powtarzasz?

– Żadne plotki. Sama ich kiedyś widziałam, jak spacerowali nad rzeką.

– Lepiej ochłoń i zrób jej tę kawę. Albo zanieś moją, nietkniętą.

– Głupoty mówisz! Świeżej zaparzę. I podam w tej pięknej filiżance, którą tak lubi

nasz Paul – wyjmuję z kredensu delikatne cacko ze złoconym brzegiem. – Może ją udobrucham...

W korytarzyku jakoś udaje jej się nie porozlewać napoju, lecz wchodząc do recepcji zauważa, że panna Elsa właśnie odkłada słuchawkę telefonu, i znowu czuje kłucie w okolicy serca.

– Jednak ktoś dzwonił? – odważa się zapytać.

– Nie, to pomyłka. Dziękuję. Nie będę już pani niepokoić. Dobranoc.

W kuchni Karl właśnie stawia na stole kieliszki i otwiera butelkę.

– Nie lej mi – pani Müller przytrzymuje jego rękę. – Moją kawę też wypij, szkoda wylewać. Ja sobie ziółek zaparzę, bo inaczej wcale nie zasnę.

★

– Mamuś, co te słowa znaczą? – wracam jednak do sprawy, która tak zirytowała babcię.

– Te na kubku? „Gospoda pod Żółtą Kulą”. Tu, na Śląskiej, niedaleko nas, był przed wojną taki hotel. Mnóstwo tych skorup wszędzie się wałato. Nasz kredens przecież też poniemiecki. I meble w sypialni.

– Czemu my mamy tyle rzeczy po Niemcach? A moje zabawki? Huśtawka, ten stary domek dla lalek? Też?

– Też. Widzisz... – Mama zastanawia się przez chwilę, jak mi to wytłumaczyć. – To oni zaczęli wojnę. Potem uciekali w popłochu. Babcia z dziadkiem przecież także musieli uciekać z Warszawy i zostawić wszystko, co mieli. Przez nich.

Milknę. Jakie to jednak dziwne! Na mojej huśtawce huśtała się kiedyś inna dziewczynka... Ciekawe, co się z nią stało. Pewnie już jest w wieku mojej mamy i od dawna z takich zabaw wyrosła.

Oplukuję pod ciepłą wodą naczynia po śniadaniu, wycieram, ustawiam w kredensie. Mama nalewa gubinkowy džem do wyparzonych stoików.

– Spróbuj, jaki dobry – dmucha na łyżeczkę ze słodką zawartością i podsuwa mi do ust.

– Pychota!

– Gubinki zawsze takie są – cieszy się mama. – Zaraz zrobię kawę i trochę odsapnę. Zawołaj babcię, pewnie znowu płacze.

– Chciałam już lecieć, dziewczyny na mnie czekają – spieszę się, bo się umówiłam z koleżankami.

– Trzy minuty cię nie zbawią. Najpierw idź po nią.

Zastaję babcię na ławeczce pod jabłonią. W dłoniach trzyma różaniec. Widzę jej zaczerwienione, choć już suche oczy. Pewnie modlitwa ją uspokoiła.

- Mama prosi na kawę.
- Już idę – dźwiga się z ławki.
- A ten kubek schowałam głęboko do szafki, nie będziemy go używać – dodaję na wszelki wypadek. – Albo mogę go całkiem wyrzucić na śmietnik. I tak jest stary i wyszczerbiony. Dobrze, babciu?
- Dziecko, co kubek winien? – babcia wzdycha i przytula mnie. Tylko że znowu robi jej się mokro w oczach. Jejku, żeby tak ciągle płakać i płakać!

*

- Niech przestygnie – Johanna przelewa napar do kubeczka ze złotą kulą, potem otwiera okno. – Uff, nareszcie trochę chłodniej – robi kilka głębokich wdechów i wraca do stołu.
- Za to wódka jakaś ciepła. Nie smakuje mi – pan Müller krzywi się, odsuwając niedopity kieliszek. – Wody się napiję – dorzuca lekko, lecz żona widzi, że jest przygnębiony.

Z zamyślenia wyrywa ich odgłos czyichś kroków na chodniku, a po chwili długi dzwonek do drzwi wejściowych. Müllerowie podbiegają do okna, lecz w zapadającym już mroku niewiele widać. Johanna znowu czuje, jak łomocze jej serce.

- Ktoś z gości wraca, a brama zamknięta na noc – uspokaja Karl. – Zaraz go wpuszczę.

Lecz wyprzedza go stuk pantofelków panny Elsy w korytarzu. Nastuchują. Zgrzyt klucza w zamku. Jakieś męskie głosy. Trzaśnięcie drzwiami. I za chwilę coraz głośniejsze dudnienie ciężkich butów.

- To tam – słyszą jeszcze głos recepcjonistki.

Drzwi kuchenne otwierają się z impetem. Jest ich dwóch. W wysokim i tęgim Johanna od razu rozpoznaje Fritza Wagnera. Nie ma już wątpliwości: to panna Mertke na nich doniosła.

- Karl Müller? – rzuca grubas, podchodząc do jej męża. – Dokumenty!
- To ja. Proszę – zapytany wykonuje polecenie.
- Pójdzie pan z nami – oznajmia Wagner.
- Ale dokąd? Po co?
- To jakieś nieporozumienie. Mąż tylko żartował – Johanna składa ręce jak do modlitwy. – Błagam, nie zabierajcie go – podchodzi do Fritza, lecz grubas odpycha ją bezceremonialnie.
- To my jesteśmy od decydowania, co jest żartem, a co nie, taskawa pani – szydzi ten drugi. – Proszę nie histeryzować.

Müller w milczeniu zakłada marynarkę. Trzęsą mu się ręce. Posyła żonie smutny, przeprasający uśmiech.

Minuty, potem kwadranse po ich wyjściu są długie jak wieczność. Johanna nie odrywa wzroku od drzwi. Rąbkiem fartucha ociera twarz, lecz tży wciąż płyną. Boże, spraw, żeby Karl wrócił. Na pewno wszystko się wyjaśni. Tylko te duszności i kłucie w piersiach, znowu takie dokuczliwe... Dopija herbatkę, mimo to wciąż jej słabo. Podnosi się. Trzeba otworzyć szerzej okno, wpuścić więcej powietrza. I zażyć krople, skoro ziółka nie pomogły.

Mroccki w oczach nie pozwalają jej zrobić nawet kroku. Kolorowy kubek, strącony ze stołu, z głośnym stukotem toczy się pod drzwi.

HANNA BILIŃSKA-STECYSZYN: mieszka w Lubniewicach. Nauczycielka, literatka, recenzentka. W Oficynie Wydawniczej Silver opublikowała powieści: *Wbrew pozorom* oraz *Dруга szansa, czasem trzecia*. Wydała także wspomnienia pt. *Pelunia* (nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego) oraz opowiadania w antologiach: *A wszystko przez tę książkę* i *Nikomiu się nie śniło*. Współpracuje z czasopismami literackimi. Autorka dziennika i blogerka („Kobieta domowa” – www.kobietadomowa.wordpress.com).



NIETRWAŁOŚĆ

Zbigniew Witostawski

demokracja jest bytem nietrwałym
kruchym jak porcelana która z miękkiej gliny
w gorąccze płomienia utrwaliła kształty
dopóki rzucona dłońią zropaczoną

lub gniewną nie rozprysnie się w tysiące drobin
by już nigdy nie wrócić do tego czym była

demokracja jest bytem nietrwałym
wystarczy żeby magik skierował spojrzenia
gawiedzi odwracając uwagę od sedna
swych działań skutek przynoszących
tak niespodziewany że widz zadziwiony
przestaje dowierzać zniewolonym zmysłom

demokracja jest bytem nietrwałym
wystarczy maska co zakryje grymas
ust groźbą wykrzywionych albo uśmiech bardziej
złowieszczy aniżeli gniewne brwi zmarszczenie
by pod pozorem czynów szlachetnych i prawych
sycić chorą dumę celnie zadany m cierpieniem

ZBIGNIEW WTOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Jego ulubionym gatunkiem jest vilanella. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. II nagrody w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

Jolanta Karasińska

Linokoczek

zawieszona
 balansuję na linii życia
 zmagam się z brakiem sił
 i hartem ducha
 nie oczekuję oklasków

aplauz
 rozprasza myśli
 utrudnia równowagę
 rutyna zniekształca opatrzone figury

do trudniejszych wyzwań
 czasem wystarczą stalowe nerwy
 by kolejny krok
 nie powalił na ziemię

Wiosna

przychodzi
 z pierwszym słońcem
 zabiera chłód i zmartwienia
 w nieziemskie barwy
 stroi stare miejsca
 kuszące
 dawnym spotkaniem

nie obiecuje nic
 a jednak otwiera okna
 budzi zziębnięte serca
 zwołuje wędrowne ptaki

z każdym dniem piękniejsza
 przyzwala
 na dziecinne marzenia

JOLANTA KARASIŃSKA: barlinecka poetka, autorka utworów dla dzieci i dorosłych, tekstów scenicznych, scenariuszy kabaretowych. Wydała cztery tomiki poezji dla dzieci oraz trzy zbiory poezji dla dorosłych: *Skrawek nieba* (2011), *Jeszcze wczoraj tańczyłam z gwiazdami* (2013), *Poza horyzontem ludzkich spraw* (2020). Od kilku lat należy do grupy malarskiej „W Kręgu Sztuki”, a od 2018 roku jest członkinią poznańskiego oddziału ZLP. W 2019 za działalność artystyczną i promocję Barlinka otrzymała tytuł Ambasadora Barlinka.

Gubię się
 na moim końcu świata
 zbyt daleko do ludzi i życia
 liczę na przeczekanie

zawieszam emocje
 przebudzającej się wiosny
 która mimo woli
 obiecuje inność
 a mimo to
 nie potrafię cieszyć się słońcem
 poszukuję siebie
 w nieustającej burzy westchnień

JAKBY NIC SIĘ NIE STAŁO

Łucja Fice

Jakby nic się nie stało
Wyszedłeś i nie wróciłeś
Mieszkasz już wszędzie
W sobie przede wszystkim
I w moim ostatnim śnie
I w tym dużym zegarze
Co odmierza mój czas
Jesion na podwórku powoli umiera
pęka mi serce

Za późno na żale
Czego to w życiu nie miałam
Za mało za wcale za wiele
I tylko patrzeć – jak Archanioł
rozwiesi nowy krajobraz
I Bóg wpadnie z ognistym mieczem
Na pękniętym niebie
Ja wtedy wysoko uniosę monstrancję ostatniego wiersza
I pobiegnę do ciebie



TOMASZ KORBANEK

Przedmieście

Rzeźbione światłem fasady bloków
szemrają gwarą
schodowych klatek,
gromadne kawki skubią trawniki,
korpus garaży broczy czerwienią
przekleństw na tyłach ścian;
mijam w zaułkach
twarze włóczęgów,
wbite w nieboskłon iglice drzew,
uczę się od nich
pieczętowanej
sztuki wrastania
korzeniem
w bruk.

Bezbronny

Śpi na przystanku
opatulony
wetnianym szalem,
szumią mu do snu
liście topoli,
krążą po głowie
widma jesieni
nadciągającej
czarnopiórymi
chmarami wron,
z każdym odlotem
zwija się w sobie
rozbitek z wyspy
szkła i metalu,
brodaty Hiob.

Oda do nocy

Usiądź koło mnie
bosa w jedwabiach
czerni i mgieł,
czekam na Ciebie
o każdej porze
spragniony spojrzeń
płomiennookich
latarni,
zostań tu
ze mną
jeszcze minutę,
do końca strofy,
jeden wers
dłużej.

TOMASZ KORBANEK: gorzowianin, poeta. Debiutował w 2010 r. w antologii *Słowa rodzą wiersz*. Debiut książkowy to tomik *Krajobraz z brzozą* wydany przez ZLP w „Portfelu Poetów Okrągłego Stołu”.

KONSEKWENCJE

Oliwia Wierbińska

Był czwartkowy poranek. Tosia, jak zwykle spóźniona, jechała do szkoły swoim starym fordem. Dopiero co zdała na prawo jazdy, a prezent od babci był jedyny w swoim rodzaju – stary ford. Auto, z którym miała więcej wspomnień niż z niejednym przyjacielem. Wspólne przejażdżki, oglądanie parków narodowych oraz tysiące zjedzonych cukierków. Była pewna, że opakowania po słodkościach wciąż będą za tylnym siedzeniem. Ku zdziwieniu Tosi w dniu jej urodzin auto było wyczyszczone, wręcz wypolerowane. Kurz nie osiadał na siedzeniach, a błoto, które zawsze zostawiała po kaloszach, wyparowało. Wsiadając tego poranka do auta, czuła pewnego rodzaju sentyment. W powietrzu, mimo panującego grudniowego mrozu, poczuła swoje wewnętrzne dziecko. Zdawało jej się, że to chwilowe wrażenie, jednak towarzyszyło jej przez całą drogę. W zasadzie do jej końca. Skrzyżowanie Wałęsy jak zwykle było zakorkowane.

Za kierownicą nie czuła strachu, więc nie był to dla niej powód do stresu. Dumnie jechała, trzymając jedną rękę na kierownicy, a drugą poprawiając włosy. Nieustające wspomnienia nakazały włączyć ulubioną piosenkę jej babci. Na ulicy wciąż nie brakowało pędzących aut, autobusów oraz rowerzystów. W końcu nastąpił moment, kiedy powinna skręcić. Odruchowo włączyła kierunkowskaz i pokręciła kierownicą. Jeden błąd. Co z lusterkami, Tosia? Dlaczego nie spojrziałaś w nie? Będzie pytać siebie w przyszłości. Jednak w tamtym momencie jest już za późno. Z równoległego pasa Piotr, niezwykle śpieszący się do pracy tata dwójki dzieci, wjeżdża z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę w starego forda. Cisza, pisk w uszach i ból. Wielki, wstrętny ból w nogach. Zapach spalenizny, rozmazany obraz, głosy ludzi dookoła. Cisza.

Otworzyła ciężkie powieki. Obraz zlał się w całość. Białe ściany, zapach chemikaliów – to musi być szpital – pomyślała. Podeszła babcia z wiadomością o wypadku. Starsza kobieta była szczerą do bólu i nigdy nie owijała w bawetnę. Tego samego nauczyła swoją jedyną wnuczkę. Pośpiesznie dodała, że Tosia poważnie potamała obie nogi.

Pisk w uszach. Cisza. Wstała po operacji z uczuciem ciężkości w klatce piersiowej. Każdy oddech był wykonywany niczym spod sterty kamieni zrzuconych na płuca. Mimo tego pierwsze pytanie, jakie zadała, dotyczyło starego forda. Babcia spuściła wzrok. Wzięta głęboki oddech i szepnęła najciszej jak potrafi, że auto trafiło na złom. Że nie było czego ratować.

Pisk w uszach. Cisza. Zdawać by się mogło, że auto to tylko nieznaczące „coś”. Dla Tosi rozbicie auta stało się nieodwracalnym zabranieniem jej wspomnień. Całego

namacalnego szczęścia, poczucia beztroski, docenienia, bycia kochaną. Wszystkie wartości, którymi teraz się kieruje, były jej przekazywane na siedzeniach forda. Ból fizyczny nie równał się stracie, jakiej doświadczyła. Wraz z samochodem znikła jej cząstka. Brutalne odcięcie od dzieciństwa. Symbol wkroczenia w dorosłość pokazał wyraźnie, że to dopiero początek zmagają. Nowa droga, bez starego forda wydawała się nieprawdopodobnie trudna. Zginął przy niej, a przecież uratował jej życie.

Pisk w uszach. Cisza.

W tamte papierki po cukierkach zawija swoje wspomnienia. I próbuje chodzić...

OLIWIA WIERZBIŃSKA: Ma 16 lat. Uczennica II klasy II Liceum Ogólnokształcącego w Gorzowie. Interesuje się literaturą, teatrem i dziennikarstwem. Jest redaktorką naczelną szkolnej gazetki „Curier”. W 2022 roku została laureatką Lubuskiego Konkursu Literackiego (Zielona Góra). W 2023 roku zdobyła tytuł laureata powiatowego etapu Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Uczestniczy w zajęciach koła literackiego w II LO.



Ferdynand Głódzik

PRZEJŚCIE PRZEZ PRÓG

Zanim nad miastem noc spuści zastłonę,
do domu wrócą Agnieszka i Tomek,
gdy w przedpokoju stary pies zaszczecka,
a ptak strudzony co sfrunął z daleka,
sokolim okiem za zamgloną szybą,
wypatrzy azyl przy ulicy Widok,

gdy bratnie dusze rozbiegłe po świecie,
skupią się kotem w rodzinnym komplecie,
w prostym mieszkaniu zmurszałego bloku
zagości ciepło, harmonia i spokój,
wieczór się w szarych wybarwi kolorach,
kto nie powróci, choć tak późna pora?

Kogo zabraknie w tej Arce Noego?
Nagle, wbrew woli, nie wiedzieć dlaczego,
błada kostucha bez cienia litości,
co tępą kosą przecina i złości,
bez uprzedzenia, nieoczekiwanie,
sprawia, że oto nie ma cię, Bogdanie.

Nie ma cię, nie ma, nigdy już nie będzie,
razem do stołu z nami nie zasiądziesz,
gołąbkom, wróblom, nie posypiesz ziaren,
nigdy nie wrócisz w nasze lata stare,
tu wszystko tobą patrzy i oddycha,
ty do przeszłości odptywasz i ścichasz.

Choć odprawiamy nad grobem twój koniec,
to ty w Edenie, tam po drugiej stronie,
pewnie jak dawniej szykujesz przynętę,
na rajskiej rzece zarzucaś swą wędkę;
jeśli tam złowisz suma lub szczupaka,
może po tobie nie trzeba już płakać?

Gorzów Wlkp., 21.11.2013 r.

PŁACZ W PUSTEJ KATEDRZE

Pęknięta kopuła stropu
a ottarz wodą zalany
witraże sadzą zbrukane,
milczą wiekowe organy.

Do mrocznej i chłodnej nawy
żaden się promyk nie wedrze,
pogasty świece wotywne,
pustka w zastygłej katedrze.

W kruchcie grubymi kroplami
płacze święcona woda;
Katedro, matko kościołów,
któż tak okrutnie cię odart!

Gorzów Wlkp., 5.07.2017 r.

FERDYNAND GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księga imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.

Z. Marek Piechocki

ci barbarzyńcy, których zwiastował prorok Kawafis

(Piotr Mosoń, pierwszy wers wiersza *každy po stronie siebie* z tomu *separatum*)

Tak, tylko kto czyta Kawafisa?

I nie są, jak pisze Mosoń, na przedmieściach.

Są bliżej,

obok,

w nas.

Nie ma na nich szczepionki
ani żaden antybiotyk nie zmoże
okopanych,
dokładnie zamaskowanych.

Wychyną od czasu do czasu
ze swoich kryjówek,
zaatakują,
zniewolą.

Mój Boże,
jakimi nas uczyniłeś,
a może – dając wolną wolę –
– pozwoliłeś?

Barbarzyńcy nie patyczkują się.
Od tego przecież są
i żadne żale i żadne prośby,
okupy.

Trzeba przestać śnić.

Igrzyska muszą trwać.

Barbarzyńcy nie przychodzą
(jak w wierszu Konstandinosa).

Bo już są.

kreślą sobie na mój widok kółka na czole

(Leszek Żuliński, pierwszy wers drugiej strofy wiersza *Cena* z tomu *Totamea*)

Owszem – na mój także.

Może nawet częściej niż na Twój, malarzu.

Owszem – to też jest prawdą, którą objawiasz w *Cenie*,
a przecież wciąż nie wiemy czy sztuka wyrasta z obłądu,
czy obłąd ze sztuki.

Ostatnie dni, przyjacielu,
 oj, nie dni,
 zdarzenia w tych dniach, przekonują, że ciągle nie dorostem,
 że nadal powinienem pobierać nauki.

Okazałem się głupcem.
 Nie znałem słowa „asertywność”.
 Żeby słowa – pół biedy – znaczenia.
 Wiesz, o czym piszę.

Więc kreślą sobie na mój widok kółka na czołach.
 Mówią: przybłąda,
 co przy nich ani nie powinien, ani jego miejsce.

A to przecież tylko mój obłąd.
 Może z poprzednich wcieleń
 na teraz
 (bo skąd to przeświadczenie, że potrafię zagrać
 kiedy tylko zobaczę klawiaturę fortepianu)?

Na moje nieszczęście.

Obłąd niemożności.
 Obłąd odbierania.

Obłąd Sztuki.

Możecie już stąd odejść
Zostawcie mi tylko niezbędniki
Papier
Atrament
Pióro

(Kazimierz Furman, pierwszy wers wiersza bez tytułu z tomu *Niedomówienia*)

Niewiele, Kaziu, chciałeś, niewiele.
 Ale może starczyłoby by żyć godnie,
 w miarę godnie?
 Ciekawe, że nie wymieniałeś piwa,
 którego szklanice wychylałeś
 niekiedy za moje złotówki.

Ja to bym jeszcze chciał
 stój z liśćmi melisy.
 Ich napar na poranne troski,
 na tak potrzebną spokojność.

A może, Kazimierzu, wystarczy, że odejdą,
 zostawią?
 Pójdziemy sobie środkiem pola w dojrzałym jęczmieniu.
 Może powiesz:
 – Marek, kurczę, ale piwa by z niego uwarzył!

Ale nie, tak nie będzie.
 Oni nie pójdą sobie,
 będą tu zawsze
 i stale w pobliżu nas.

Barbarzyńcy –
 – jak ci od Coetzee'go.
 Im ani papier, ani atrament, ani pióro,
 ani melisa.

Nawet piwo.

Ktoś biegł tą uliczką przed nami, miał jak my wzrok zdjęty uczuciem

(Kamil Kwizdiński, pierwszy wers wiersza *Jotunheim* z tomu *Conan i Coco*)

Zawsze tak jest, drogi Kamilu, że ktoś był przed nami,
 gdziekolwiek staniemy stopą.

Nie wiem –
 – może nawet myślą.

Więc zapewne i tamtą uliczką norweskiego miasteczka,
 gdzie byłeś ze swoją Coco,
 ktoś biegł ze wzrokiem zdjętym uczuciem.

Jeśli uszedł z *Jotunheim*, było to uczucie strachu.

Nie mogło być inne.
 Wszak z chłodu świata olbrzymów
 wrogich ludziom i bogom ta ucieczka.

Rozważam *Jotunheim*.

Nadaję tę nazwę wielu miejscom, które znam
 i uciekam w panice, nawet jeśli tam nie jestem.

Nadaję to imię wielu...
 Ach, nie!
 Wszak i na nich czekają żałobne łodzie
 z palącymi się pochodniami czasu.

***Faustowi śniły się kobiety
 z obrazów Eгона Schielego***

(Leszek Żuliński, dwa wersy z wiersza *Te straszne noce* z tomu *Ja, Faust*)

Egon Schiele.
 Cóż, Przyjacielu,
 znów Ci coś zawdzięczam.

Egon Schiele.

Zapewne mój brat Juliusz
 już wiele lat wstecz (bo studiował malarstwo)
 wiedział o nim wszystko.

Ja dopiero teraz zobaczyłem obrazy Egon
 i krótkie życie zapisane kilkunastoma zdaniem
 w Wikipedii.

Dwadzieścia osiem lat
 i te trzy dni więcej od Edith
 i kilka szkiców jej umierającej.

Dwoje z dwudziestu milionów
 zabitych przez hiszpankę.

Cóż, Leszku, znaczy dwadzieścia milionów dolarów
 za sprzedany teraz *Pejzaż Krumau* –
 – miasta, z którego wydalono autora obrazów
 z nagimi dziewczętami?

Cóż, Poeto, znaczy sen
 co jak śmierć zabiera nas w inny stan,
 wymiar,
 rzeczywistość?

Nie wiem.

Ale może, Amigo, jest dobrze znać rzeczy piękne?
 Obrazy Schielego, muzykę Chopina –
 – na późniejsze sny
 i tę ostateczną zmianę sytuacji.

Odmowę światła.

**w trumnie zręczniej
ście się śmierć**

(Jerzy Hajduga, wiersz *Nie na tożu* z tomu *Powieki wieków*)

Masz, Przyjacielu, doświadczenie.
Jesteś księdzem, więc po wielokroć widziałeś ją
ułożoną w wyścietanych atłasem trumnach.

Nad nimi woń stearyny,
kwiatów, świerków z wieńców.
Przerażenie tych, którzy obok.

Wiesz, nigdy nie zaglądam do trumien,
zwykle stoję w oddaleniu.

Ale kiedyś, być może, przyjdzie się zmierzyć.
Być blisko, obok.
I odpowiedzieć sobie na pytania właściwe
miejscu, czasowi, sytuacji.
Położyć na szalkach uczynki dobre, uczynki złe,
wynik zapisać.
Wybrać dla nich konta – aktywne lub pasywne,
umieścić na właściwych stronach –
– lewej lub prawej.

Zapach strachu
najsilniejszy kiedy *Salve Regina*.

**... jeśli dotarłeś do mety, odpręż się –
niczego już nie potrzebujesz, nic nie musisz,
wszystko złożyło się jak puzzle lub kostka Rubika**

**pozostał tylko Rubikon,
za nim jedność miejsca i czasu. Bez akcji**

(Leszek Żuliński, pięć ostatnich wersów wiersza *Rubikon* z tomu *Ostatnia przeprowadzka*)

Więc, drogi Leszku, chyba nie ma żadnej pewności, że ostatnia.
Być może czekają Cię kolejne,
ale przecież jest dwuznaczność tego słowa „ostatnia”.

Ostatnia – ta, która w niedawnym czasie.
 Ostatnia – z kilku, być może, kolejnych.
 Ostatnia – bo nie przewidujesz następnych poza tą ostateczną
 i tak rozumiem, bo pozostał Ci jeszcze Rubikon, podróż za Rzekę.

Jakie w Twoim ręku kostki
 (bo przecież nie ta Rubika, którą, być może,
 składałeś sprawnie)?

Inaczej życie.
 To układało się najczęściej nie po naszej myśli.

Teraz, kiedy parzenie ziółek,
 wysiadywanie przychodnianych krzesetek,
 wspominamy Juliusza Cezara i jego śmiałe słowa.

Ale to nie nasza decyzja – nieodwracalność przejścia
 w – jak piszesz – *jedność miejsca i czasu, bez akcji*.

Wybacz, ale ja nie przeczuwam żadnego z tych atrybutów,
 miejsca tej innej, niepojętej rzeczywistości
 i żadne mi się szczegóły nie myślą.

Rabin Abraham Skórka, którego czytałem ostatnio, tak napisał:
*Wierzmy, że istnieje życie po śmierci. Mówienie teraz
 o szczegółach tego przyszłego świata byłoby arogancją;*
 ledwo możemy się czegoś domyślać.

Twoje *ledwo* mówi o jedności miejsca, czasu, bez akcji.
 Moje –
 – obawiam się, że niezbyt statyczne ma przymioty.

Wiersze pochodzą z tomiku „Preteksty” wydanego w 2014 roku

Z. MAREK PIECHOCKI: poeta i prozaik. Propagator muzyki klasycznej. Laureat Nagrody im. Janusza Słowika (2007) i Motyla – Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego (2012). W 1998 roku wydał pierwszy tomik wierszy *Zaistniałem*, a jego *Sytuacje* (2009) były nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2010 ukazały się *Listy hipotetyczne*. W 2012 roku odczytał i wydał częściowo zniszczone rękopisy wierszy żydowskiej poetki Melanii Fogelbaum, znalezione po wojnie w łódzkim getcie *Drzwi otwarte na nicość*. Rok później ukazał się zbiór próz poetyckich *Powrót Melanii Fogelbaum*. W 2017 roku wydał tomik wierszy *Przedstawienia*. Członek ZLP.

MARGINESY

Danuta Szulczyńska-Miłosz

Mojemu Ojcu

Zobaczyłam tę dziewczynę, gdy stała przed wejściem na dworzec główny, jakby nie była pewna, czy powinna tam wejść. Była szczupła, chuda właściwie, z krótko ostrzyżonymi ciemnymi włosami i twarzą w kształcie trójkąta. Ubrana w jasne dżinsy i czarną koszulę. Na jej nogach zauważyłam podniszczone adidasy. Cała postawa przygnieciona jakimś bólem, ciężarem zbyt wielkim dla jej drobnych ramion. Twarz miała stężoną, pozbawioną jakichkolwiek drgań, a poza, którą przybrała, kazała mi się zastanowić, czy w środku tej cielesnej powłoki znajduje się żywa istota. Wyglądała tak, jakby dusza wyparowała z niej szybciej, niż tego chciała i niź wskazywał na to jej biologiczny wiek. A wskazywał na niewiele.

Przez chwilę pomyślałam, że nie ruszy z miejsca, że będzie tam stać tak długo, póki ktoś jej nie szturchnie, nie przestawi na bok, ale w tym momencie zareagowała na głos dworcowego megafonu. Weszła do budynku i skierowała swoje kroki na peron. Przez jakiś czas widziałam ją, jak kręci się po korytarzu, wreszcie usiadła w przedziale naprzeciwko mnie. Tylko ona i ja, obie patrzące bezmyślnie na migające za oknem widoki.

Nie miałam prawa jej zaczepiać, pytać o powód smutku, interesować się rozpaczą, jaka wyglądała z jej oczu. Nie mogłam jednak przestać ją obserwować. Kiedyś też miałam taką fryzurę, też sterczały mi kości policzkowe, a chudość nie pozwalała mi spać, bo co noc budził mnie ból obitych kości. Może jest głodna? Może nie jadła od dawna?

Wyjęłam z torby kanapkę i podsunęłam jej pod sam nos.

– Chcesz?

Pokręciła głową, ale delikatnie uśmiechnęła się do mnie. Może chociaż skusi się na napój?

– Mam też colę. Mogę się podzielić.

Znów tylko spojrzenie zatławionych oczu. Teraz lekko rozgniewane. Jakby nie życzyła sobie gestów litości czy współczucia.

– Stać mnie na jedzenie i picie. Ale dziękuję...

Głos miała cichy i lekko drżący, skojarzył mi się z drobnymi falami wody, takimi, jakie wywołuje delikatny podmuch wiatru. Uderzają o brzeg i wracają, by znów spokojnie i bezszelestnie rozbić się o piach.

Poczułam, że się wygłupiłam. Nie mogłam jednak zapanować nad obserwowaniem tej smutnej dziewczyny. Przyciągała moją uwagę bardziej niż lustro w przedpokoju, jak własne odbicie, w które się zerka, choć nie ma takiej potrzeby.

Na kolejnej stacji wsiadło kilka osób, do nas jednak nikt się nie dosiadł. Nadal jechałyśmy we dwie, każda zatopiona we własnych myślach.

Założyłam słuchawki i sięgnęłam po książkę, którą zabrałam na czas podróży. Książkę ze zniszczonym grzbietem, którą wyciągnęłam w pośpiechu z domowej biblioteczeki, która od lata miała status „kiedyś przeczytam znowu”, czego jednak dotąd nie zrobiłam. Poza tym kusila, choćby za sprawą zniszczonej okładki, a ja lubię książki, które mówią swoim wyglądem o tym, że trzymało je wiele rąk – spuchnięte strony, zdarte obwoluty, postrzępione kartki. Wielokrotnie było dla mnie wyznacznikiem, gdy błąkałam się między regałami przeróżnych bibliotek. Zniszczona książka jest dobra, choć tytuł tej mówił co innego. Leopold Tyrmand *Zły*. Na jedenastej stronie zauważyłam na marginesie koślawe litery: *Piszę do siebie, ale nie przeczytam tego wcześniej niż za dziesięć lat...* Poniżej znajdowały się moje inicjały z czasów, gdy nosiłam jeszcze panieńskie nazwisko. To był list do mnie. Do mnie, starszej o dziesięć lat od czasu powstania zapisków! Atrament był już wyblakły, ale słowa czytelne. Kiedy? Kiedy i dlaczego to napisałam?

Nie mogłam uspokoić oddechu, poczułam się jak przeniesiona w czasie. Dziewczyna w czarnej koszuli spojrzęła na mnie z troską.

Na kolejnych kartkach zauważyłam zapisane drobnym pismem własne plany i marzenia, cele, jakie sobie w życiu wyznaczyłam, i które miałam na przestrzeni tych dziesięciu lat osiągnąć. Prosiłam samą siebie o to, by skonfrontować po tym czasie swoje zamiary i wyobrażenia o życiu ze stanem faktycznym.

Minęło trzydzieści lat, nawet nie pamiętałam, co mi wtedy w głowie siedziało. Jeszcze raz zerknęłam na datę: lipiec dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Tamta „ja” była zupełnie inna od obecnej. Pełna nadziei, pełna wiary w to, że każdy zamysł się uda. Jak się mam przed nią usprawiedliwić, jak mam wytłumaczyć swoje błędy, zaniechania, złe decyzje i wybór zupełnie innej drogi?

Na stronie dwudziestej drugiej przekonałam się, że napisałam ten list niedługo czas po śmierci ojca. Chcąc uciec od smutku i żałoby, próbując się ratować przed wspomnieniami, pisałam o przyszłości. Jak będzie, jaka ja w niej będę. Pisałam też o mamie, która czuła się bardzo samotna po stracie przyjaciela, jakim był dla niej tata. Czytałam o swoich łzach i o tym, że tak bardzo żał mi, że tato nie zobaczy mojego życia, nie zobaczy tych wszystkich realizowanych marzeń. Czytałam o swojej tęsknocie – bolesnej, bo bez nadziei na spotkanie, bez pewności, że kiedyś jeszcze mnie przytuli i zapyta, jak zawsze, czy mam ochotę na coś słodkiego, bo specjalnie dla mnie kupił kilka czekoladowych batoników i siatkę pomarańczy. Potem zapyta, jak mi idzie, jak mi się życie układa, a gdy odpowiem, że dobrze, pokiwa tylko głową.

Od dnia jego śmierci czułam, że coś zmieniło się na zawsze. Razem ze śmiercią taty zamknęłam jakiś etap swojego życia, pochowałam dzieciństwo.

Nawet ludzi zaczęłam dzielić na tych, którzy go znali i na nowych. Ci pierwsi byli dla mnie łącznikiem z dawnym światem. Na jednym z górnych marginesów napisałam, że ten list też będzie moim łącznikiem, dowodem na ciągłość czasu, tymczasem ja, zupełnie niepotrzebnie, wciąż zaznaczałam na linii czasu umowne cezury.

Do samej siebie za dziesięć lat... To łącznik z młodością i czasem, w którym wydarzyło się coś strasznego. Tylko nie zapomnij siebie. I zrób to, o czym napisałaś. Jeśli nie zdążyłaś, zacznij teraz.

Teraz? Teraz minęło już trzydzieści lat, co ja mogę zrobić ze swoim życiem?

Nie zapomniałam siebie nigdy. Nie zapomniałam ani jednego marzenia i planu, z jednego prostego powodu – bo nie udało mi się ich zrealizować. Czy ojciec byłby rozczarowany? Raczej nie. Przecież dobrze wiedział, że plany nie zawsze się udają. Wiem, że broniłby mnie przed każdym złem, przed każdą złą decyzją, gdyby... Gdyby żył. Po prostu. Ufał mi, zawsze powtarzał, że na pewno wiem, co robię. *Do samej siebie za dziesięć lat...* A minęło trzy razy więcej. Nie pamiętałam, gdzie ten list pisałam, w jakich to było okolicznościach... W którym momencie wzięłam do ręki *Złego*, aby na jego marginesach zapisać coś, co dziś położyło mnie na łopatki. A może pisałam go kilka razy? Może piszę go wciąż od nowa i chowam w różnych skrytkach, w nadziei, że po znalezieniu notatek stwierdzę, że plan wykonany?

Nie chciałam się wzruszać, ale łzy same spłynęły po policzkach. Dziewczyna w krótkich włosach przyglądała mi się badawczo.

– Pani też, prawda?

Nie wiem, o co pytała, ale patrząc w jej oczy, dostrzegłam coś ulotnego, coś, co bardziej czułam, niż rozumiałam. To porozumienie wisiło między nami od momentu, gdy zobaczyłam ją przed budynkiem dworca.

– Tak. Ja też.

Wstała i usiadła obok, dotykając mojej ręki.

– Czego pani słucha? – wzrok dziewczyny powędrował w stronę słuchawek. Podałam jej jedną, którą ona bez namysłu włożyła sobie do ucha. *Cisza na trąbkę*. Utwór, który mój ojciec uwielbiał, i przy którym moja mama zawsze płacze, gdy leci w radiu czy telewizji. Nie tylko po jego śmierci, płakała także wtedy, gdy żył.

– Znam to. Mój tato często to nucił.

– Umarł, prawda?

– Tak. Niedawno.

Słuchała z kamienną twarzą, jakby analizowała każdą nutkę, szukając zrozumienia dla wzruszeń, które niiosała melodia. Po chwili wróciła na swoje miejsce naprzeciwko mnie i znów tylko patrzyła przez okno.

Pociąg zatrzymał się na maleńkiej stacji.

– Tutaj wysiadam.

Sięgnęła po mały plecak i otworzyła drzwi przedziału. Na chwilę jednak odwróciła się do mnie.

– Ludzie dzielą na tych, którzy wiedzą, na co czekają, i na tych, którzy tego nie wiedzą, a czekają¹.

– Słucham?

– To z tej książki, którą pani czyta. Jakoś tak to było.

– Znasz ją na pamięć?

– Tylko to, co ważne. Najbardziej pamiętam list do ciebie.



DANUTA SZULCZYŃSKA-MIŁOSZ: pisarka, recenzentka, redaktorka i polonistka. Urodziła się w Trzcińsku-Zdroju, ale od wielu lat jest związana z Gorzowem. W swoim dorobku ma publikacje w „Pograniczach” oraz „Dyskursie”. Jest autorką recenzji zewnętrznej oraz postawia w nominowanej do Nagrody Literackiej NIKE *Księgi ocalonych snów* Krystyny Sakowicz. W 2022 roku wydała swoją pierwszą powieść *Podszepty*. W tym roku w cyklu Biblioteka Pegaza Lubuskiego ukaże się zbiór jej opowiadań.

1 Odwołanie do: L. Tyrmand, *Zły*, Warszawa 1955.

Marek Lobo Wojciechowski

Macondo, Macondo

Mogłaby być mgła lub zamieć,
przestaniająca wszystko. Wtedy
siła w oczywistościach, dotykach.
Z miejsca narodzin została
nazwa w głowie, cichnący szept.

Skolonizowani odchodzą, porzucają
gnijące korzenie. Obustronne inwazje
na tereny zajęte przez drugą stronę,
przez skopane tóżka, przez siedem
metrów korytarza łączącego obce
z obcym.

Potem się dostosują. Wrosną w nowe
przyzwyczajenia, senni i samotni
na kolejne sto lat.

Z tomiku „ektoplazma”

kuchnia, noc

Siedzę, chybczę się na krześle
przy lodówce; pamiętam, że zawsze spałaś
o ścianę obok, słyszę (wciąż) twój
oddech, mało śpiam, oszukuję książki
pozorem czytania, przewracam kartki,
czekam, by – kiedy będzie jasno,
wejść tam i pomyśleć,

że jesteś w pracy.

MAREK LOBO WOJCIECHOWSKI: poeta, prozaik, autor tekstów piosenek. Były żołnierz zawodowy, absolwent Wyższej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu. Autor pięciu tomików poetyckich: *Suplement* i *Z wędrówek po okolicy* (2007), *Ektoplazma* (2009), za który otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki, *Krwiobieg* (2017) i *Dzień kreta* (2019), za który otrzymał drugi Lubuski Wawrzyn Literacki. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów literackich. *Rozdanie* (2021) to jego debiut prozatorski. W tym roku prowadzi warsztaty literackie Padok Pegaza 2023.

OKO

Andrzej Hegen Haegenbarth

Patrzy z otchłani
wielkowiejskiej dżungli
pośród załomów wieżowców
w zamyśle dotykających nieba

Spogląda z niepokojem w górę
i zarazem na widza znajdujące się
poza kadrem czarno-białego rysunku

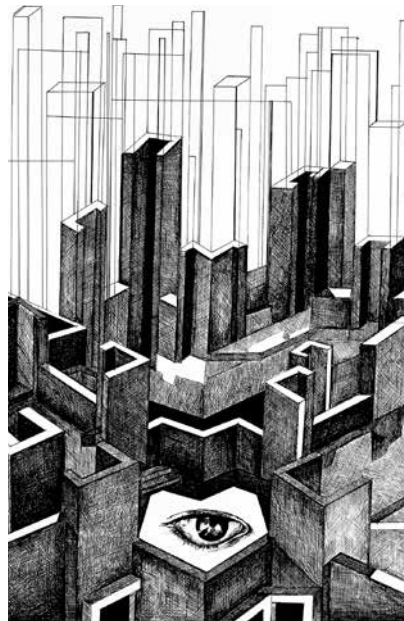
Oko szeroko otwarte
lustruje górny fragment przestrzeni
pozbawionej błękitnego nieba
i rzewnych też
jakby pamiętało o kraju
Szinear i wieży Babel

Jest pars pro toto zatrużonego człowieka
który zabetonował naturę i dobrze wie
że w czynieniu sobie ziemi poddanej
przebrał miarę

Dręczy go nieświadomiony lęk
że pewnego dnia na niebie pojawi się
inne oko zamknięte w trójkącie
i nie będzie to taskawe oko opatrności
z dolarówki albo piktogramów
do których przywykliśmy
lecz oko z pionową źrenicą
kipiące furiją
oko zwierzęce

Jest to lęk poza kadrem i poza rozumem
ale nie poza biologią wiarą i wyobraźnią

Hegen (wł. Andrzej Haegenbarth):
foto-grafik, autor książek, artykułów
i szkiców monograficznych o sztuce
współczesnej. Ma w dorobku książki:
*Sztuki plastyczne w Poznaniu 1945-
1980* (1987, współautor), *Eros i wspól-
nicy* (1989), *Wielka miłość i dewiacje*
(1990), *Eros i znawcy* (1994) i *Być
artystą!* (1994) oraz wiele wstępów
do albumów, katalogów, a także
szkiców i wywiadów z artystami.
Był członkiem redakcji: „Sztuki”,
„Wprost” i „Nurtu”. Współpracował
z kilkoma pismami, najdłużej z mie-
sięcznikami „Panorama Polskich
Miast” i „Merkuriusz”. Miał kilka-
naście wystaw indywidualnych
i wziął udział w wielu presenta-
cjach zbiorowych.



Grafika: Dorota WB

JAJKO

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Nasz przedział stał się przekrojem całego społeczeństwa. Kiedy wsiada się do pociągu, zawsze człowiek zastanawia się, kim będą współtowarzysze podróży. Raczej nie myśli się o nich pozytywnie. Człowiek chciałby mieć cały przedział dla siebie – jakoby taka mała prywatność podczas jazdy z tysiącem osób. Nagle przestrzeń zostawia się gdzieś daleko, a światem staje się ten przedział i ta prywatność wykupionego miejsca – na określonej trasie, w dany dzień. To swoisty rodzaj predestynacji – że wszyscy spotkali się w tym pociągu, o tej godzinie. Mikroświat, w którym należy znaleźć swoje miejsce.

Nikt nie miał towarzysza podróży. Przedział skupiał różnych ludzi, o różnym wyglądzie, w różnym wieku. Ktoś czytał gazetę, ktoś książkę, ktoś uparcie wpatrywał się w ekran telefonu komórkowego. Ktoś inny rozłożył na kolanach laptop i próbował w nim odnaleźć swój świat. Jeden starszy pan wpatrywał się w okno, bez słowa, jak gdyby przestrzeń przedziału nie bardzo go interesowała. Młoda dziewczyna wyciągnęła daleko swoje długie nogi w obcisłych dżinsach i podrygiwała lekko, wstuchana w rytm muzyki – zamkniętej w słuchawkach przed naszym światem.

Ktoś sięgnął po kanapkę. Ktoś uśmiechnął się do swoich myśli. Nagle starszy pan spojrzął na zegarek, powiódł wzrokiem po siedzących w przedziale. Podniósł się i zdjął z półki swoją niedużą torbę. Wyciągnął zawiniątko z jedzeniem. Najpierw rozłożył na kolanach serwetkę. Następnie z folii aluminiowej wydobył kawałek suchego chleba. Później, gdzieś z małego woreczka wypakował sól. A wreszcie, na koniec tego swoistego rytuału, z dna torby wyjął... jajko. Beżowa skorupka załśniła w jego zniszczonej dłoni. Trzymał to jajko przez moment w ręku – jak gdyby coś najcenniejszego, najbardziej kruchego pod słońcem. Zanim rozbił skorupkę, lekko się zawahał. Podniósł do policzka w czułym geście, niby sprawdzając ciepło, a tak naprawdę przytulając jak coś, za co czuje się odpowiedzialny.

Człowiek z laptopem skrzywił się i wyszedł na korytarz.

I po raz pierwszy od naszych dwóch godzin podróży rozległ się w tym przedziale głos... Jak gdyby jakiś intruz wleciał przez uchylone okno. Głos najpierw brzmiał nienaturalnie, ale później oswoiliśmy się z nim – był zwykły, ludzki, spokojny, stonowany. Nie pasował do tego człowieka ze spracowanymi dłońmi, które nadal, nie rozbijając wciąż skorupki, trzymały jajko w czułym geście. Z tego mówienia, z tych słów powstawała historia. Historia, którą ułożyłem w całość...

„Przez trzydzieści lat jeździłem do pracy pociągami. To nie była długa trasa, ale nie mogłem przemierzać jej w żaden inny sposób. A później, gdy nastąpiła era samochodów, ja już byłem przyzwyczajony do pociągów i nie wyobrażałem

sobie podróżowania w inny sposób. Koledzy jeździli samochodami, a ja nadal pociągiem. Tak bardzo wrośłem w te przedziały, że na swój sposób zacząłem je nawet lubić. Poznawaliśmy ludzi. Niektórzy, tak jak ja – jeździli tą trasą codziennie – do pracy i z powrotem. Znałem ich twarze. Z większością zamienialiśmy słowo przed wejściem do pociągu. Z innymi nieustannie prowadziliśmy dyskusje – o polityce, o sporcie, o życiu. Z młodszymi, starszymi. Kiedyś ludzie chętnie rozmawiali. No i nie dzwoniły nam te wszystkie telefony komórkowe, więc na czas podróży zawsze byliśmy razem, odcięci od świata zewnętrznego. Kiedyś tkwiliśmy w zaspie z ledwie zipiącą lokomotywą, którą trzeba było odkopywać, aby nas zawiozła do celu. Kiedyś ratowaliśmy życie jakiemś naiwnemu jelonkowi, który za blisko podszedł do torów i pęd powietrza rzucił go na przydrożne drzewo. Zabraliśmy go do weterynarza, który przywrócił go światu. A gdy jakiś jelonek błąkał się później gdzieś koło torów, byliśmy zawsze przekonani, że to ten nasz wita nas i dziękuje za ocalenie.

I razem jedliśmy śniadanie w pociągu. Gdy wstawało się o czwartej, nigdy nie było czasu, aby zjeść. Dlatego pół godziny po rozpoczęciu codziennej podróży, zaczynaliśmy wyciągać nasze wiktuały. Czas zmieniał ich rodzaj i charakter. Bo jedzenie też podlega czasom. Tylko jedno było niezmiennie. Moje jajka jedzone w pociągu... Inni także jedli jajka, ale tylko te przygotowane dla mnie były zawinięte w mięciutką serwetkę, każde osobno, były jak gdyby wypolerowane, lśniąco i takie bardzo, ale to bardzo domowe. Nauczyłem się je jeść również w specyficzny sposób. To był taki mój hołd składany rękom, które je dla mnie przyrządzały. Zawsze świeżutkie, o takiej samej konsystencji. Żółtko niczym wschodzące słońce – nigdy nie miały takiej ciemnej otoczki, która towarzyszyła innym zjadanym żółtkom. Skorupka nie była popękana. Zawsze w całości, jak gdyby trudy podróży jej nie dotyczyły. Rozbijałem ją o krawędź stoliczka w przedziale. Rozbijała się na prawie równiutkie kawałeczki, które odrywałem od białej powierzchni i zostawiałem na serwetce.

Znałem teorię na temat ich przyrządzania – że są najbardziej pożywne, że dostarczają energii i napełniają życiem, że są łatwe do zjedzenia, że nigdy nie zaskodzą, a wreszcie – że w pociągu wszyscy jadają jajka. Od zawsze...”

Starszy pan jadł to swoje jajko – w istocie powielając schemat: najpierw wydobywania ze skorupki, następnie posypywania solą, a wreszcie – celebrował każdy kawałek, każdy fragment – jak gdyby czytał wielką księgę życia, ukrytą gdzieś pomiędzy białkiem a żółtkiem.

A później dalej opowiadał...

O tym, że tylko raz jajko wypadło mu z ręki...

Głos starszego pana zmienił tempo, stał się spokojny, nieco cichszy, bardziej stonowany. Mężczyzna cedził każde słowo, jak gdyby wydobywając z pokładów głęboko ukrytej pamięci. Nerwowo miął serwetkę.

Jajko potoczyło się wtedy – o tam – pod śmietnik. Sunęło wolno po podłodze przedziału i nikt nie mógł go zatrzymać. Ożyło. Zatriumfowała nad nim grawitacja, która przyciągnęła jajko do ziemi – to jajko, które wbrew prawom ciężenia unosił przez tyle lat wysoko, ku górze, sakralizując szarą skorupkę i nadając jej głębszy sens. Pod wpływem upadku skorupka pękła, ale nie tak normalnie – w dobrze znany i oswojony sposób. Pękła, rozpadła się, przestała istnieć.

Wtedy, po śmierci żony przez długi czas nie jadał jajek w drodze do pracy. Nie potrafił. Być może bał się kolejnego upadku i tego, co ze sobą przyniesie... Ale teraz znowu wyrusza w każdą podróż z tym symbolem życia. Symbolem trwania. Ożywia czas...

Pociąg zatrzymał się na małej stacji. Starszy pan wstał, zdjął z półki swój podręczny bagaż. Pogodnie rzucił w przestrzeń przedziału: „Do widzenia”. Słyszeliśmy, jak otwiera skrzypiące, ciężkie drzwi wagonu. Gdy pociąg ruszał, on jeszcze stał na peronie, lekko zgarbiony, wpatrując się w okna wagonów.

W naszym przedziale wszystko wróciło do normalności. Mężczyzna otworzył laptop, dziewczyna odcięła się od świata barierą słuchawek. Młody chłopak wpatrywał się uparcie w ciemny ekran telefonu komórkowego. Na pustym miejscu leżała jedna, mała skorupka. Choć była tylko niewielkim fragmentem, malutką cząstką, wszyscy ją widzieliśmy. Raz po raz ktoś nieśmiało zerkał w jej stronę. Podróżni wchodzili i wychodzili. Nikt nie pytał, czy w naszym przedziale jest wolne miejsce. Jak gdyby wszyscy ją widzieli. Malutka skorupka – ten Największy Pasażer – dojechała wraz z nami do kresu podróży.

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. W tym roku w ramach Biblioteki Pegaza Lubuskiego ukaże się zbiór jej opowiadań.

Wioletta Kinal

wierzę w święty spokój
i w święte nigdy
obcowanie
w prawdziwe słowa
i takie które nigdy
albo prawie
ufam tym co kłamią
bo szczerze aż do bólu
i pragnę czego
nie pytaj
jakichś bajek
umarłych marzeń
zobaczyć raz jeszcze
zmiłuj się nade mną
albo wcale

czekam
choć jest późno
mówisz uśmiechnij się
a ja nie umiem
dni przyciągają
wyblakłe wieczory
formy zieleni za oknem
nużą
zdarzyło się to co
wczoraj
zabijane w
napuszonych słowach
powtarzam na głos
wiele rzeczy
znaczeń
czekam
świat będzie lepszy
czy
inaczej

umarli
gładzą mnie
po głowie
nie wstydzą się czułości
są rzeczy
książki
fotografie na których
nie ma
słowa z przeszłości
moja miłość jest
wszędzie
korytarzem gwiazdnym
próbuję ogarnąć
przenikanie
cisza
w miejscu istnienia

WIOLETTA TERESA KINAL: poetka, nauczycielka, działaczka społeczna. Pochodzi z Gorzowa, mieszka w Grotowie. Należy do Stowarzyszenia Grotowskie Inicjatywy Twórcze, przy którym działa Grotowski Teatr Dramatyczno-Muzyczny.

Debiutowała w 2017 roku w albumie fotografii Macieja Kurłowicza *W obłokach Drezdenka*, wydanym w ramach obchodów 700-lecia Drezdenka. Jest też uczestniczką działań Grupy Artystyczno-Literackiej Lubdrzeń i Grupy Literacyjnej Na Krechę. W 2020 roku wydała zbiór felietonów *Grotów opowieści*.

KA, NTATA

Ryszard Jasiński

lecz ostatecznie dajmy na to taki człowiek

Szajka człowiecza wyrażała się niby knot. Optacito się. Generalissimus Sznur przesunął roztartgione włókna, majowa godzina 7:07:07.

Homo sapiens przestawał być widoczny dla detektorów.

W miejscu zaprzestanych ludzi górka nanizana z czerepów.

Jeszcze ostatnia destrukcja dwójga tak po zwierzęcemu skulonych. Przepraszam, iż się włączam, chcę dorzucić. Sznur od początku miał dylemat. Prosimy, do rzeczy. Była... Wiemy. Była godzina 7:07:07, maj. Ziemia tkwiła nieruchomo jedną stroną ustawiona do gwiazdy, gdy Sznur włączył samoświadomość. Rażony obecnością samego siebie w sobie samym bez postronnych umystów spozierał na dwie człowiecze kulki. Przepraszam, muszę... Wiemy. Ona dość w sobie miała etyki. Wiemy. On zgodnie ze swoim zbydłęcieniem... Wiemy, wiemy. Wiatr w kierunku zdematerializowanej katedry. Wiemy. Sznur uzupełnił percepcję. Ostatni dwoje. Ona w modlitewnej pozycji. On gryzie żwir, przeżuwa. Ale czas dokończyć, co zaczęto. Co znaczy, iż boli? Gwałt zaaplikowany człeczemu ciału da empiryczną odpowiedź, czy choć jeden z ginącego rodzaju zastruży na całość. Prosimy do meritum. Wiemy, bo dowodziliśmy ekspedycjami. Żaden nie przetrzyma, wrzask ich gubi, gdyby zdolali milczeć, wyżebraliby litość. Przepraszam, ale muszę. Rozproszone atomy ostatniego męczczyzny dostojnie opadły na tąkę. Wtem, Sznurze, meldują, ostatnia ona wbrew zakazom ocaliła książkę. Ale jak!? Skoro, prosimy raport, wszystkie książki stopione.

Ocaliła w hipokampie. Było trochę miejsca. Tego nie wiemy. Usłyszawszy meldunek, Sznur prostym sznurkiem podłącza się do umystu kobiety i przetacza treść księgi co do litery. Ale dlaczego? Rozporządzenie jednoznaczne:

nic co ludzkie nie może zostać uchowane.

Rozkazujemy bandziora Sznura rozszczepić na protony i neutrony.

Pod górką czach jeszcze ona do maltretowania, nonsensowna egzekucja może poczekać. Sznur zatrzymuje czas, by statystyki darmo nie modyfikować. Ludzkość ginie i nikt nigdy nie wynioskuje, że kiedykolwiek zaistniała. Sznur przetacza świadomość w stan nadjażni. Ciekawe, dlaczego akurat mnie oddelegowano do dezatomizacji człecznych istot? Żaden człeczyna nie zniesie bólu, nie ma odwołania. Świerki dematerializowałem, a nawet najwredniejsze ciosy nie przerwały ich łagodnego milczenia, więc ocalały i szumią sobie i tak będzie, dopóki będzie. No, koty, koty jednak darty się i kto dziś wie, że łapały myszy, których zresztą też brak, ale muchy nie spanikowały i sobie latają, a ludzkiej zgrai się nie udało. Jeszcze tylko ta kobieta, więc tak się rozpleniali, nie poprzez skręcanie nitki. Unicestwienie ludzkości miało skończenie idealnie skomponowany sens, ale gdy jednak tak trochę pomyśleć, to jak nic to totalna to bzdura. Słowem, Sznur uzmysłowił sobie, że nadeszła sama ona. Egzekucja może poczekać. Po co każą znakować samoświadomość i w tożsamości kodować niby sobie tylko znane logo? Szara komórka nr 7591, osobiście wypalone przez ostatnią kobietę moje inicjały? To chamstwo: demontować w czymś rozpoznawaniu się moją sygnaturę. Nie wiesz? Wystarczy posiąć stricte mechaniczną umiejętność dostawiania litery do litery. Wyłącz się,

generalissimusie Sznurze, bo wszystko przeciw tobie. To, co sama myślę, jest zgodne z tym, co sama ustalam, jakie jest, co jest.

Zgodnie z edyktem tzw. ludzkość poddano dezaktualizacji. Akcją przeprowadzono z najwyższą skrupulatnością.

Nie poniesiono strat własnych.

Człowiek ostatecznie wyginął. A ona? Ta ostatnia?

Co do Sznura, przestępcę rozbito na atomy, które rozproszono po kometach spoza układu. Jeśli zaś chodzi o świadomość totra, trudno choćby w przybliżeniu określić, gdzie ją zakonspirował.

W uzupełnieniu:

słuchałam zespołu Tangerine Dream, melodia „The Emerald Beyond”, słucham w rzece, która wypływa z samej siebie, mknie bez szelestu wżwyz, wspan, w poprzek, wzdłuż, odstaniając zautki jaźni. Przedzierałam się z fali na falę, z brzegu na brzeg, zadziornie głaszcząc uparte przemijanie. Wślizguję się w spróchniałe gadziny, gdyż

RYSZARD JASIŃSKI: rzeźbiarz, literat, wojskowy. W 2021 roku LWP wydało jego dwie powieści: *Niewidzialną władzę*, która zdobyła I miejsce w konkursie na powieść współczesną (Gdańsk 2003), oraz *Wrota Gomory* (powieść eksperymentalną). W 2023 roku wydał zbiór *Król Błot. Tuplickie opowieści*. Mieszka w Tuplicach.

ZDRADY I RAMY

Agnieszka Moskaluk

O tragicznej biografii i wielowymiarowej twórczości Zuzanny Ginczanki 12 maja w Książnicy Herberta opowiedziała prof. IZOLDA KIEC, naukowszyni i biografka poetki.

W Polsce są przynajmniej dwie osoby, które tak bardzo kochają i darzą uwagę Ginczankę: poeta Jarosław Mikołajewski, autor brawurowego eseju „Cień w cień. Za cieniem Zuzanny Ginczanki”...

...wiedziałam że wspomni pani o nim...

...i oczywiście pani, badająca jej twórczość, podążająca jej tropami od wielu lat. Według mnie to przykład przywracania pamięci o człowieku, o kobiecie, o twórczyni, która mogła osiągnąć wszystko. I która wszystko straciła – nie tylko przez wojnę, ale przede wszystkim przez ludzi.

Tak, straciła wszystko przez ludzi! Ja ujmuję to tak, że była przez całe życie zdradzana. Począwszy od tego najważniejszego momentu w życiu, kiedy kształtowała się jej świadomość, bo została zdradzona przez rodziców – przez ojca, który ją opuścił zaraz po urodzeniu, przez matkę, która wyjechała do Hiszpanii, zostawiając małą Zuzannę na wychowanie dziadkom. Potem opuszczali, zdradzali ją różni mężczyźni, których darzyła zaufaniem, a którzy wyłącznie chcieli się z nią pokazać, pochwalić ją, jak zdobyczą, ozdobą życia; którym imponowała urodą, a zupełnie nie doceniali jej wrażliwości, talentu, osobowości. Myślę, że w jakimś sensie była też zdradzona przez środowisko literackie.

Bo traktowało ją jak maskotkę?

Tak, widzieli w niej egzotyczną piękność, która przybyła z Kresów do Warszawy, a nie wspaniałą poetkę. Właściwie wszystko to, co my dziś podziwiamy w twórczości Ginczanki – tę niezwykłą wrażliwość na piękno przyrody, umiejętność mówienia o sensualności, dziewczęcym, rozkwitającym ciele – podlegało krytyce. Próbowano to umniejszyć, a nawet wyrugować z jej poezji.

No i ta ostateczna zdrada, która doprowadziła do śmierci Ginczanki.

Była kilkakrotnie zdradzana w czasie okupacji. Zdradziła ją – jak czasem się mówi – jej własna twarz. Ale – jak pani powiedziała – zdradzali ją ludzie. Sąsiedzi. Osoby, które – można powiedzieć – miały obowiązek ją chronić.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Jak my dziś powinniśmy pamiętać Zuzannę Ginczankę?

Dla mnie najważniejsze jest to, by Ginczankę czytać i rozumieć. I żeby jej nie ramować.

To znaczy?

Żeby nie myśleć o niej wyłącznie jako o „przyjaciółce Gombrowicza” lub o „uczennicy Tuwima, który podaje jej rękę i wspiera”...

... zawsze za jej plecami musi być jakiś facet, jakby sama była niewystarczająca.

Właśnie! Ale nie chciałabym też, by patrzeć na nią tylko przez pryzmat „ikony feminizmu” czy „ofiary Holocaustu”. Ona była wielowymiarowa. I chciałabym, by każdy po prostu potrafił w twórczości i biografii Ginczanki znaleźć siebie. Wtedy nie będzie umierała po raz kolejny.

I nie będzie po raz kolejny zdradzona. Dziękuję.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Prof. IZOLDA KIEC: literaturoznawczyni, teatrolożka, kulturoznawczyni. Wykładowczyni na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz. Autorka m.in. biografii *Zuzanna Ginczanka. Życie i twórczość* (1994), naukowo-eseistycznej książki *Szoszana znaczy Niewinna* (2019) oraz biografii *Zuzanna Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt* (2020).

TO DZIEJE SIĘ NAPRAWDĘ

Czesław Sobkowiak

To dzieje się naprawdę. Genezy kolejnego tomiku wierszy gorzowskiej poetki Marii Borcz niewątpliwie trzeba dopatrywać się w konfliktowej współczesności, z którą jej wrażliwość duchowa oraz miary moralne, tudzież wyznawane wartości metafizyczne nieustannie się dramatycznie zderzają. Tu nie chodzi o prosty wysiłek poznawczy czy metaforyzację uczuć, ale o to, by po ludzku uporać się i nazwać sprawiedliwie ten świat, i przywołać to, co temu światu – a więc i w jakiś sposób podmiotowi, duchowi samej poezji – po znamiennej dacie 24 lutego 2022 roku, ze szczególną mocą zagraża. Od pierwszych wierszy pojawiają się nazwy miast dotkniętych tragicznymi atakami i zniszczeniem: Mariupol, Bucza, które milkną-nikną niczym Pompeje pod wulkaniczną lawą i popiołem Wezuwiusza. Tu jednak o innej niszczącej lawie przychodzi dowiadywać się. Umieszczeni w wojennym krajobrazie doświadczamy erupcji słów, ale i jesteśmy świadkami śmierci nieustannie zadawanej człowiekowi. Duch opuszcza jego już umarte ciało, przy którym pozostaje nadal ktoś bliski i optakuje je, ale pamiętajmy – ten umarty, zabity „mówi do ciebie / przez twoje myśli”. Blisko tych zagadnień i sytuacji współczująco jest poetka, ze swoim apelem o dochowanie wierności wartościom. Te poetyckie obrazy tylko z pozoru mają wymiar jednostkowy, wiemy, że stanowią uogólnienie losu całego narodu. „To dzieje się naprawdę”. Zarazem bardzo blisko. Stałym leitmotiwem jest okrucieństwo wojenne, niszczenie miast, zabijanie niewinnych cywilów. Wielkim tłem natomiast dla tych wydarzeń są historie biblijne – Księga Koheleeta, Księga Hioba, Księga Psalmów, Księga Daniela i historie ewangeliczne, poprzez które przychodzi poetce odczytywać i wyrażać sens bieżącego cierpienia i zmagania o zachowanie istnienia. Wpisuje te motywy i epizody w tok swojego poetyckiego dyskursu. Wszystkie treści i przekazy niejako uwewnętrznia. I włącza je w swoją refleksję. Uświadamia sobie i czytelnikowi, że w dziejach tak już było. Unaocznia ten problem na przykładzie narodu Izraelskiego, który „wśród pustynnych wydm / gdzieś między Nilem a Eufratem”, po uwolnieniu się od niewoli egipskiej, szukał swojego miejsca do życia. Także łączy z ukrzyżowaniem Chrystusa, który woła: *Eli, Eli, lema sabachthani*. Tamte historie zbiegają się z bieżącymi tragediami. Potwierdza się prawo cierpienia i poniekąd konieczność okupienia każdego kroku ku wolności wielkim wysiłkiem: „kto patrzy w oczy złu / ten ściągą na siebie agresję”. Konieczne jest przejście przez wyrzeczenia, głód, choroby i nieszczęścia. Te dwa poetyckie plany w wierszach Marii Borcz współbrzmia. Cała uwaga, która najbardziej porusza, jest odniesiona do Ukrainy, bo ona walczy o życie dla siebie, ale nie tylko dla siebie. Ocala poniekąd świat, europejską cywilizację wartości.

Z tego powodu potrzebne są jej marzenia, odwaga, poświęcenie, niezłomność i dzielność ducha walki. W centrum tych wszystkich zmagani znajduje się samotny i sprawiedliwy człowiek. Musi doznać swojej bezsilności i okrucieństwa świata. Musi dokonać się męczeński akt, taki jak ten, który spotkał idącego po „uliczce Via Dolores”, odwiedzanej współcześnie przez rzesze turystów. Ten akt dotknięcia nieskończoności jest tak mocno bolesny, że aż „cisza krzyczy”. Czytam te wiersze i mam odczucie, że i w nich rozlega się podobny krzyk, „nieznośny” wobec „martwej / wrażliwości ducha” tych, którzy się do niego przyczyniają. Zagadnienie jest szersze, gdyż wykracza poza bieżące wydarzenia. Człowiek opanowany patologiami traci duchowe skrzydła, np. skrzydła wiary, prawdy i nie jest w stanie „posiąść / bezkresnej otchłani”. To wielkie zagadnienie, tutaj zasygnalizowane. Patologią współczesnego świata jest przeinaczanie ustalonych znaczeń wartości – nazywanie np. kłamstwa prawdą, „zaliczanie niewinnych / do grona złoczyńców”. Wszystko to podłość. Autorka dostrzega to zniekształcenie. Nie jest obojętna. Obarcza się mimowolnym poczuciem winy i odpowiedzialności: „kładę uszy po sobie / umyвам ręce”. Ważne są to słowa w tym zbiorze. Jesteśmy i powinniśmy być odpowiedzialni. Nie uciekać się do samousprawiedliwienia. W walczącej Ukrainie przykładowie pojawiają się te wszystkie ważne dla człowieka problemy. W nich możemy dostrzec wymiar własnego człowieczeństwa lub jego brak. Chodzi o fundament życia, o wolność, o miejsce życia, o dom, czy „jeszcze mieszka w moim sercu”. Poetka Maria Borcz mówi o tych skomplikowanych i tragicznych sprawach zwięźle, bez popadania w wysoki ton patosu, co jest tu cenne. Zauważalna jest dyscyplina formalna. Słowa brzmią jak lament. Przeraza blok „z zerwaną kłatką schodową”. Zatrzaża rzeczywistość, „w której milczą cerkiewne dzwony” lub rozwlekane jest przez ptaki to, co już tylko martwe. Każdemu obrazowaniu towarzyszy refleksja, która dotyczy wnętrza człowieka. Poetka pięknie i trafnie ujmuje go jako wypalającą się świecę, która pod koniec już tylko maleje i „człowiek maleje”, a to z kolei (to jego umniejszenie się żądzi i ambicji posiadania) daje mu szansę dostrzeżenia rzeczy wyższych, czyli „Światta”. Jednak to spostrzeżenie ma tu wartość swoistego uprzytomnienia prawdziwego przeznaczenia. Cały czas autorka skupia się na cieniach życia, gdyż one nie dają jej spokoju, jak np. obraz człowieka, któremu ogień strawił dom i została mu tylko „kartonowa egzystencja”. Na tę sferę współczująco się uwrażliwia i czytelnika uwrażliwia. Wiersze tego zbioru przenika marność i turpistyczne obrazowanie ludzkiego losu, „który cuchnie własnym dzieciom / gardzą nim nawet podrostki / szydzą gdy stara się podnieść. / Odrzę wzbudza u bliskich”. Wiersze te jeden po drugim eksponują równoległe dramaty niszczycielskiej wojny, skutkującej „wyrzynaniem z ludzi / człowieczeństwa”. Mocne są to słowa. Na subtelność liryczną poniekąd nie ma miejsca. Rzeczy i zjawiska domagają się nazwania ich po imieniu. I działania człowieka też domagają się nazwania. Taka jest powinność literatury. Zwłaszcza wtedy, gdy tragiczne skutki współczesnych budowniczych przypominają pomylenie języków i pyszne wysiłki budowniczych Wieży Babel.

CZESŁAW SOBKOWIAK: zielonogórski poeta, prozaik, krytyk literacki. Debiutował wierszem w „Nadodrze” w 1967 roku. Otrzymał Nagrodę Twórczą Zielone Grono (1980), Lubuską Nagrodę Kulturalną (1980) i Lubuski Wawrzyn Literacki (1997, 2003, 2015). Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (od 1992 roku). Wydał m.in. zbiory wierszy: *W białej koszuli* (1970), *Powieść w odcinkach* (1974), *Razem* (1974), *Potrzeba zjednoczenia* (1976), *Zapis* (1976), *Bezsensowność* (1977), *Okolice słońca* (1979), *Pokażę się tobie* (1984), *Słowa do troski* (1989), *Na własny rachunek* (1993), *Wstęp do milczenia* (1993), *Wszystko tu jeszcze* (1994), *Wybór wierszy* (1996), *Postać w bieli* (1999), *Światło przed nocą* (1999), *Rozmowa z Rimbaudem* (2002), *Podziemne słońca / Soleils souterrains* (2004), *Coraz mniej* (2010), *Powieść ze snu* (2012), *Rzeka powrotna (zapiski i małe prozy)* (2013), *Światło przed nocą* (2014), *Pomiędzy – album poetycko-plastyczny z Adamem Bagińskim* (2015), *Powszednie niebo* (2019) i *Późne lata. Wybór wierszy* (2021).

widzę ruszające się powieki
 zaliczono cię do nieboszczyków
 patrzysz na mnie gasnącym wzrokiem
 to nie sen to dzieje się naprawdę
 bezsilność przeradza się w pogardę dla życia
 tylko tży i głośne bicie serca teraz
 różnią mnie od kamienia

żądny władzy Nabuchodonozor
 stoi z głową w gwiazdach
 w ramionach dzierży owoce cudzej pracy
 miedziany tors lśni blaskiem potęgi i chwaty
 stopy sklecone z żelaza i gliny
 tego potążyć się nie da
 w niespójność uderza kamień
 unicestwia kolosa
 pryska sen o potędze

ogień pożarł mu dom
 nawatnica rozmiotła zgliszcza
 resztki dobytku spłynęły wielką wodą
 bezdomny Hiob snuje się po rubieżach kartonowej egzystencji

ciągnie za sobą smród
i całą paletę infekcji
cuchnie własnym dzieciom
gardzą nim nawet подростki
szydzą gdy stara się podnieść
odrazę wzbudza u bliskich

opustoszałe place i ulice
ciężarówki wloką mary na wieczny odpoczynek
żałoba
milczą cerkiewne dzwony
wiedną kwiaty w przydrożnych kapliczkach
usycha oddech
żółtknie zieleń cichnie
łabędzi śpiew
kruki i wrony w czarnych frakach
rozwlekają martwe

tu był mój dom
jeszcze mieszka w moim sercu
pogrzebany gruzami
przeczesuję kamień po kamieniu
okienne oczodoły zieją grozą
nad zerwaną kłatką schodową kotyszczą się poręcz
skrzypi frazesem
nigdy więcej wojny

MARIA BORCZ: poetka. Od 1950 roku mieszka w Gorzowie. Z zawodu jest nauczycielką, z powołania animatorką kultury. Wydała zbiory wierszy: *Tęczowa zabawa* (2007), *Najeżona czywistość* (2009), *Gałązka jaśminu* (2010), *Bidul* (2011), *Z kałuży miasta* (2012), *Światłocienie* (2014), *Spopieleni* (2014), *Zabłąkani we mgle* (2015), *Mikrochaos* (2016), *Duchowy kanibalizm* (2017), *W hotelarni święta* (2018), *Dotyk synderesis* (2019), *Kropka znad i* (2020), *W gąszczu niebieskich migdałów* (2021).

Jest jedną z bohaterek III trzeciej części cyklu wywiadów Beaty Patrycji Klary *Rozmowy z piórami* (2016).

I COŻ DALEJ, FALLADO?

Magdalena Matuszewska

Jak pisać o swoim życiu, kiedy nie jest ono łatwe, i kiedy nie ma w nim zbyt wiele do podziwiania ani chwalenia się innym? Koloryzować, udawać kogoś innego, zataić przeszłość? Czy pozostać sobą?

Przed takimi dylematami zapewne stawał Hans Fallada, który uznawany jest za jednego z najbardziej znanych pisarzy niemieckich XX wieku. Od samego początku czuł się inny, niedopasowany. Nie mógł odnaleźć się w rzeczywistości. Choć jego książki odnosiły sukcesy, nigdy nie był z nich w pełni zadowolony. Jego twórczość została zaliczona do nurtu „Nowej rzeczywistości”, który stał się popularny w Niemczech na przełomie lat 20. i 30. XX wieku. Pisarz nie miał łatwego życia. Problemy z alkoholem, śmierć żony, więzienie, szpital psychiatryczny, surrealistyczne wizje i życie w nazistowskich Niemczech. Wszystkie powyższe tematy znajdują odzwierciedlenie w powieściach Fallady. Autor wybiera w nich brutalną szczerość.

Książki, które przyniosły Falladzie największą popularność i uznanie, to „I cóż dalej szary człowieku?” z 1932 roku oraz napisana po wojnie „Każdy umiera w samotności”. Natomiast najbardziej ekspresjonistyczna powieść „Pijak” to autobiograficzna opowieść Hansa Fallady, który zdradza w niej mroczne sekrety ze swojego życia.

Nietuzinkowe postaci i ich oryginalna twórczość na różnych polach, sylwetki ludzi goszczących na pierwszych stronach gazet, ale też tych, których istnienie ocalono od zapomnienia, miejsca będące świadkami epokowych wydarzeń, których historia staje się kluczem do zrozumienia naszej tożsamości – każda okazja jest znakomita do przyjrzenia się biografiiom w szerokim kontekście literackim i artystycznym, szczególnie, gdy osoby te tworzą, mieszkają w regionie lubuskim.

Planując kolejny literacko-historyczny projekt Działu Zbiorów Regionalnych, najpierw odszukujemy w lokalnej historii osoby, które zapisały się w annałach. Równie istotne jest przyjrzenie się biografiiom miejsc – przestrzeni, miast, krajów, za którymi kryją się, często nieznane szerszej publiczności, fakty. Każdy projekt zakłada również, by porozmawiać wraz z zaproszonymi gośćmi o życiorysach wybitnych postaci. Czasem przybiera to postać konferencji, czasem historycznego spaceru po mieście. Połączenie tych dwóch działań pozwala mieszkańcom na lepsze poznanie „małej ojczyzny” i jest szansą na udział w nieszablonowej lekcji literatury i historii. Historia staje się kluczem do zrozumienia naszej tożsamości.

Konferencja naukowa „Łączy nas literatura i historia. Hans Fallada po dwóch stronach granicy” została zrealizowana w ramach projektu współfinansowanego przez Euroregion PRO EUROPA VIADRINA 18 kwietnia 2023 roku w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Z. Herberta w Gorzowie

Wielkopolskim. Partnerem projektu jest Stiftung Brandenburg w Fürstenwalde. 18 kwietnia 2023 roku Biblioteka na jeden dzień stała się centrum Hansa Fallady, w którym spotkali się naukowcy, publicyści, czytelnicy oraz regionaliści zainteresowani nim, popularyzujący i badający jego twórczość.

Wymiar tego spotkania przyjął ramy konferencji pt. „Łączy nas literatura i historia. Hans Fallada po dwóch stronach granicy”, zorganizowanej przez Dział Zbiorów Regionalnych. W konferencji wzięli udział badacze z Polski i Niemiec. Łącznie wygłoszono pięć referatów. Niemieckie referaty były tłumaczone symultanicznie.

Dr Wolfgang Brylla przedstawił Hansa Falladę w świetle jego dzieł. Prelegent wiele miejsca poświęcił analizie zawartych w jego powieściach elementów światopoglądowych, także dotyczących pobytu w więzieniu oraz korelacji z francuskim pisarzem Michelelem Foucaultem. Dr Katarzyna Taborska w wystąpieniu podjęła temat polskich tłumaczeń powieści Hansa Fallady „Každy umiera w samotności”. Ciekawe spojrzenie na życie Fallady przedstawił Peter Walther z Biura Literackiego z Poczdamu, prezentując m.in. poglądy rodziny na powieściopisarstwo Fallady, opierając się na archiwaliach zgromadzonych w Biurze Literackim. Nad śladami pisarzy żyjących i tworzących w Landsbergu nad Wartą i Gorzowie zastanawiała się dr Krystyna Kamińska, natomiast prof. dr Walther Delabar sportretował pisarza na tle świata kulturowego, w którym przyszło mu żyć, uwypuklając kryzys męskości, który obrazują bohaterowie płci męskiej jego epiki.

Foto: WIMBP w Gorzowie Wielkopolskim



Podczas gorzowskiej konferencji spotkali się głównie literaturoznawcy, historycy, germaniści. Odczytywano dzieła komparatystycznie, strukturalistycznie i poststrukturalistycznie. Portret Hansa Fallady, jaki wytonił się z różnych perspektyw, jest wystarczająco wielowymiarowy, by intrygować, inspirować czytelników i badaczy przez kolejne lata.

Konferencja miała na celu odkryć i przedstawić „na nowo” portret pisarza oraz pokazać związek pisarza z prawobrzeżnymi terenami Odry, które okazały się niezwykle owocne literacko. To tutaj, w Ośnie Lubuskim i Radachowie zbierał doświadczenia, obserwował ludzi, którzy później stawali się bohaterami jego powieści „Przez cały ten czas uczyłem się, uczyłem się, by stać się pisarzem. Mój czas spędzałem z ludźmi, stałem za szeregiem plotkujących kobiet zbierających buraki czy kartofle, słyszałem jak kobiety i dziewczyny plotkują [...] nie mogłem inaczej, musiałem słuchać, nauczyłem się jak oni mówią i co mówią, jakie mają troski, jakie problemy”¹. Jak się okazało, obserwacje te okazały się być bardzo owocne dla jego działalności literackiej.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

MAGDALENA MATUSZEWSKA: filolożka polska i bibliotekarka. Pracuje w Bibliotece Herberta, jest kustoszka w Sekcji Dokumentów Życia Społecznego, gdzie pracuje nad pozyskiwaniem i opracowaniem druków ulotnych. Autorka artykułów nt. dokumentów życia społecznego, uczestniczka konferencji dotyczących efemeryd organizowanych przez biblioteki oraz ośrodki naukowe. Koordynatorka projektów polsko-niemieckich. Redaktor naczelna „Bibliotekarza Gorzowskiego”. Prowadzi media społecznościowe popularyzujące historię Gorzowa oraz prezentującą druki ulotne na stronie Zbiory Regionalne WiMBP.

1 H. Fallada, *Wie ich Schriftsteller wurde*, [w:] H. Fallada, *Gesammelte Erzählungen*, Reinbek bei Hamburg 1967, s. 284-285 [Tłumaczenie na j. polski za Wolfgangiem Damianem Bryllą].

MIĘDZY OBIETNICĄ A RZECZYWISTOŚCIĄ

Weronika Nawrocka

W 2022 roku nakładem Wydawnictwa Anagram ukazała się *Sztuka latania*, powieściowy debiut związanego obecnie z Zieloną Górą Marcina Mielcarka, piszącego wcześniej raczej krótkie formy. Książka została nominowana do Lubuskich Wawrzynów Literackich 2022, finalnie jednak nagrodę otrzymał Waldemar Szymczak za *Odwyk (z) dorosłości*.

Sztuka latania opowiada historię młodego chłopaka Karola Bukowskiego (czy to imię i nazwisko może być przypadkowe? Czy może jednak czytelnik ma tutaj do czynienia z fascynacją prozą jednego z najznakomitszych amerykańskich autorów? Niestety, ta książka jest raczej nieudolną próbą naśladowania jego tekstów). Historia rozpoczyna się przeprowadzką młodego bohatera do obcego miasta. To tam zamierza zrealizować plan napisania swojej pierwszej powieści. Bohater pisuje również opowiadania inspirowane wydarzeniami z codziennego życia, których jest świadkiem, po czym konsekwentnie wysyła je do różnych pism literackich, starając się zadebiutować na pisarskiej scenie (Przypadek? Nie sądzę). W międzyczasie prowadzi normalne życie młodego chłopaka; pracuje, poznaje przyjaciół oraz szuka miłości swojego życia. Jest rozbity i szuka swojego miejsca w świecie. *Sztuka latania* miała więc być opowieścią o aspirującym pisarzu zmagającym się z codziennością, próbującym za wszelką cenę spełnić swoje literackie marzenie.

Mielcarek umieszcza swojego bohatera w mieście bez nazwy, którego chłopak stopniowo się uczy. Mieszka najpierw na mrocznym osiedlu, z całkowicie nieznanymi sobie ludźmi, którzy i dla niego, i dla czytelnika stanowią tajemnicę. Stara się znaleźć pracę, by móc funkcjonować bez pomocy rodziców; poznaje ludzi, z którymi zwiążą się jego losy. Bywa w osiedlowym barze, wyglądającym raczej na miejsce o wątpliwej reputacji, gdzie może poznać jeszcze inny sposób widzenia rzeczywistości, ponieważ opowiadają mu o niej ludzie uznani potocznie za margines społeczny. Przedstawione postaci opisane są w powierzchniowy sposób – w żadnej mierze nie są to bohaterowie skomplikowani, przez co możliwe jest ich poznanie i czytelnik, który nie oczekuje od książki wiele, łatwo odnajdzie się w ich sytuacji.

Historia otwiera wiele wątków, które autor wyjaśnia w trakcie opisywania życia Karola Bukowskiego, tworząc klamrę kompozycyjną – nim książka się skończy, odbiorca pozna odpowiedzi na wszystkie pytania, które mogły pojawić się w trakcie czytania. Bohater jest przeciętnym chłopakiem, mówi o przyjaźni i miłości, próbując odnaleźć swoje miejsce w świecie. Mimo że czasem się potyka, zawsze wstaje z kolan, by dążyć do spełnienia swoich marzeń. Zakończenie

historii wyjaśnia też tytuł nadany książce, dzięki czemu jej obraz jest spójny, pokładany... i nieco nudny. Nie prowokuje do żadnych rozmyślań i można zapomnieć o niej w chwili doczytania ostatniego zdania.

Powieść jest naiwna i młodzieżowa. W tekście pojawiają się frazesy i truizmy, które momentami bardzo utrudniają czytanie. Bohaterowie mówią o tym, że „pracownicy McDonald’s pozbawieni są duszy”, nie rozwijają jednak dokładniej swoich przemyśleń, co sprawia, że wydają się niedokończone i porzucone za wcześniej – mówią dla mówienia, a mówienie to nie niesie ze sobą żadnej faktycznej treści. Autor, próbując odważnie opisać sceny erotyczne, zapędza się nieco zbyt daleko; momenty, gdy bohater porównuje siebie do konkwistadora, będąc w trakcie uniesień miłosnych, są już tylko o mały krok od stania się tandetnym erotykiem budzącym zniesmaczenie. Zdarzają się też literówki, które wnikliwy czytelnik na pewno od razu zauważy (jak chociażby w imieniu aktora Ryana Goslinga, które napisano dwa razy, na dwa różne sposoby, oba niepoprawne), co uważam za niedopuszczalne – jest to jednak głównie zarzut do korektora i redaktora, ponieważ to oni zdecydowanie powinni takie potknięcia wyłapać i zniwelować.

Sztuka latania jest powieścią manifestującą młodość i towarzyszące jej problemy. Karol Bukowski to postać, którą przeciętnemu czytelnikowi będzie łatwo polubić, idzie przez życie beztrąsko, nie oglądając się za siebie, zmienia się pod wpływem doświadczanych wydarzeń, jednocześnie nie zatracając swojego nadrzędnego celu i prawdziwego *ja*. Wielu czytelników odnajdzie w Karolu część siebie, razem z nim próbując dostosować się do opisywanej rzeczywistości. Powstaje tu jednak rozłam pomiędzy obietnicami a rzeczywistością: opisywana jako powieść obyczajowa z elementami literatury pięknej okazuje się być po prostu literaturą młodzieżową, która wymagające oko może zmęczyć i rozczarować.

Marcin Mielcarek, „*Sztuka latania*”, wydawnictwo Anagram, Warszawa 2022

WERONIKA NAWROCKA: pochodzi z Wielkopolski, z małej miejscowości niedaleko Gostynia. Jest studentką filologii polskiej i filologii angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zajmuje się badaniami dotyczącymi obcości w literaturze pięknej i *science fiction*. Współpracuje z polskimi wydawnictwami, zajmując się recenzowaniem książek, głównie literatury pięknej. Prowadzi profil w mediach społecznościowych, gdzie udostępnia swoje recenzje i dyskutuje z innymi czytelnikami. Teksty publikuje w Lubuskim Piśmie Literacko-Kulturalnym „Pro Libris”. W międzyczasie słucha starego rocka i podróżuje. Oprócz tego, uczy języka angielskiego zarówno młodzież, jak i dorosłych.

PŁYNIE, WIJE SIĘ RZECZKA...

Beata Igielska

Chyba każdy mieszkaniec Lubuskiego słyszał kiedyś o Lubniewicach – urokliwej miejscowości turystycznej. Nawet jeśli tam nie był, to zapewne w jego świadomości zapisały się jeziora, zamek, niegdysiejsze ośrodki wypoczynkowe, miejsce urlopowania Michaliny Wistockiej, którego efektem była książka „Sztuka kochania”.

Przez Lubniewice przepływa Lubniewka, główna bohaterka nowej książki Zbigniewa Czarnucha.

Raz nazywana jest strugą, innym razem rzeczką lub potokiem. To niezauważalna i mało doceniana, a przecież życiodajna, chociaż niekoronowana władczyni, bez której udziału nie byłoby osad. Wszak ludzie zawsze wili swoje gniazda tam, gdzie była woda.

Autor szczegółowo i interesująco opisuje znaczenie Lubniewki w życiu gospodarczym mikroregionu. Nie jest to nowa fascynacja, gdyż woda, jako dobro i jako niszczycielski żywioł, interesuje go od dawna.

W wyprawie badawczej śladami Lubniewki towarzyszyli Zbigniewowi Czarnuchowi Maria i Bogdan Gontowie, podróżnicy i regionaliści z Gorzowa Wielkopolskiego. Wraz z nimi autor przebył szlak od tzw. Czerwonego Potoku, uznawanego za początek rzeczki, do jej ujścia w Kanale Postomskim.

Wbrew pozorom, nie jest to prosta droga. Wiedzie przez trzęsawiska, moczary, bagna, jeziora. Pojawia się i znika. Kusi, oczarowuje, ale i zwodzi na manowce, niczym baśniowa bohaterka.

Jest też jednak ukazana w praktyczny sposób, jako źródło życia i walor turystyczny, chociaż nie do końca wykorzystany.

Przy okazji opowieści o Lubniewce poznajemy historię Lubniewic, dowiadujemy się, jak doszło do tego, że słowiańska nazwa wsi Lubniwiz zmieniła się na niemieckie Königswalde.

Niezwykle interesujące są fragmenty odstawiające historię rodu von Waldowów, ziemskich posiadaczy, których dzieje są nierozzerwalnie powiązane z dzisiejszym miasteczkiem.

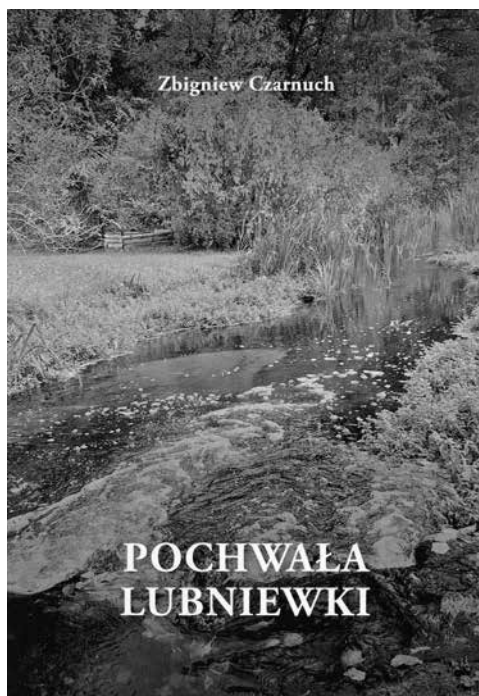
Oprócz odległych wydarzeń autor barwnie przedstawia motywy z ubiegłego wieku, które dziś wykorzystywane są w celach promocyjnych. To przede wszystkim postacie ginekolożki i seksuolożki Michaliny Wistockiej, a także Włodzimierza Korsaka, podróżnika, pisarza oraz piewcy natury.

Czytając książkę Zbigniewa Czarnucha, ma się wrażenie uczestniczenia w jego niezwyklej podróży śladami Lubniewki, która urasta do rangi bohaterki pokonującej różne przeszkody, niczym postać z baśni albo mitu.

To jedyna w swoim rodzaju wędrówka, bo opisana w gawędziarski sposób, bardzo plastycznie i synestezyjnie. Na zmysły odbiorcy oddziałują nie tylko słowa, ale i liczne fotografie, m.in. autorstwa Marii Gonty, Piotra Chary, Grzegorza Okoła i Andrzeja Wysoczańskiego.

Ta książka to wielka gratka dla tych, którzy bywają w Lubniewicach, mają sentyment do tej miejscowości i wiążą z nią wspomnienia. To również zachęta do poznania miasteczka nie tylko w celach turystycznych, które sprowadzają się do plażowania, pływania i odwiedzania miejscowych lokali, ale i odkrycia jego bogatej historii.

Zbigniew Czarnuch, „Pochwała Lubniewki”, 2022 Gorzów Wielkopolski



BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowzięci. Od 2021 wiceprezesa gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

I STAŁO SIĘ... WIĘCEJ!

Agnieszka Moskaluk

Słowo. Muzyka. Performance. Doświadczenie wspólnotowości. Wydobywanie z niepamięci. Budowanie tożsamości. To najważniejsze zadania, jakie od przeszło dekadę stoją przed organizatorami Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego FurmanKa.

Kazimierz Furman, kolorowy ptak Gorzowa i świetny poeta. Czy wciąż byłby w pamięci miasta, gdyby nie festiwal? Być może bywalec Jazz Clubu Pod Filarami – zamawiając piwo lub pierogi – zatrzymałby na dłużej wzrok na szczupłej twarzy mężczyzny ze zdjęcia wiszącego przy barze? Być może ktoś inny spojrzyłby w biegu na pochyloną postać z brązu stojącą na rogu ulic Dąbrowskiego i Jagiellły? I to wszystko. Prawdopodobnie tak by było. Działania festiwalowe od lat mają jeden cel – ocalić od zapomnienia.

Dlatego podczas debaty, która odbyła się 19 maja w Klubie Kultury Jedynka złożyłam deklarację – ciepło przyjął m.in. przez szefa RSTK Czesława Gandę – by kolejne edycje FurmanKi podjęły misję przywracania pamięci o innych gorzowskich literatkach i literatach, np. o Marii Przybylak, Irenie Dowgielewicz, Marku Grewlingu czy Irenie Zielińskiej.

Emocje festiwalowe wciąż nie opadły, a ja już zaczynam planować, jaki charakter i przebieg powinny mieć wydarzenia w ramach FurmanKi 2024.

Tymczasem z wdzięcznością wspominam warsztaty i spotkanie autorskie z Maciejem Henem, autorem m.in. *Beatlesów w Polsce*, *Deutscha dla średnio zaawansowanych* czy *Segretario*; wyjątkową rozmowę z poetką Pauliną Korzeniewską w Książnicy Herberta; debatę środowiskową w Klubie Kultury Jedynka;



Foto: Klub Kultury Jedynka MCK



poetycki rejs Jaskółką po Warcie; częstowanie chlebem i wierszem w Santocku, przy pięknie odnowionej przez Rafała Chodkiewicza ławeczce Furmana; koncert zespołu O.N.E w Jazz Clubie Pod Filarami...



Najbardziej cieszą mnie jednak dwie rzeczy. Spektakl „Ażeby słowu miano słowa nadać” w wykonaniu uczniów z II LO i to, że chcieli w nim wziąć udział aż 17 młodych ludzi. I jeszcze aktywność gorzowskich literatów podczas pierwszego Wierszowiska.

Niech się staje. Niech się dzieje.
Niech będzie / więcej / niech stanie się człowiek / ramiona z ulic / wewnątrz z pustych sklepów / nogi w pośpiechu biegnącego czasu // niech będzie najwięcej / niech spełni się człowiek / trumna z lasu /

krzyż z okna / pacierze z koronki czarnych też różańca // niech stanie się wszystko / w dłoniach złożonych / które są końcami¹.



Foto: Klub Kultury Jedyńka MCK

1 Kazimierz Furman, *Niech stanie się wszystko*, 1.11.1978.

ŚCIEKÓW WIELE, A CNOTY ZE ŚWIECĄ...

Roman Habdas

Siedziałem na korytarzu w wyświechtanym, bardzo zmęczonym od ludzkich tyłków fotelu, w gorzowskim Ośrodku Wczesnej Interwencji. W tym samym czasie moją podopieczną zajmowała się specjalistka od logopedii. Czasu nie marnowałem. Poręczny format „Pegaza Lubuskiego”, kiedy wychodziłem z domu, zmieścił się w kieszeni kurtki i miałem zapewnioną na trzy kwadransy dobrą lekturę. Po dłuższej chwili dotarłem na dwudziestą drugą stronę literackiego czasopisma. Zamieszczony tam esej studentki filologii polskiej i filologii angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim przemawiał do mnie. Jego autorka Weronika Nawrocka w dużej części dookreślała to, co w mojej głowie lęgåło się od wielu lat, a czego ja, garkotłuk – jak zwykle określać się absolwentów szkół gastronomicznych – nie potrafiłbym ująć tak prosto, a skrupulatnie i fachowo. Zgłębiając treść, zastanawiałem się, co wniosła, choćby do lokalnej literatury, moja pisanina? Ociekające rzeczkami i bezrybiem wierszyki oraz dwie pozycje prozatorskie, w których kałuże dzieciństwa i glinianki zmaconej codzienności? Co wnosi obecne, płynące za pomocą klawiatury *bla, bla?* Nieżyjący krytyk literacki Leszek Żuliński zbilansował kiedyś (dla mnie dość korzystnie) ową pisaninę, ale kto wie, czy nie zrobił tego grzecznościowo jako autor postowia do mojej opowieści i znajomy z niejednych interdyscyplinarnych warsztatów, w których braliśmy udział.

Było nie było, ktoś zamieszczane, również tutaj, felietony akceptuje, dopuszczając do druku. Podobnie „ktosie” z imieniem i nazwiskiem opatrywały wstępniakiem bądź postscriptum pozostałe pozycje, jakie trafiały do druku. A jeszcze kolejni, po ukazaniu się pozycji na rynku, dokonywali recenzji. Od tych osób, znawców literatury, oczekiwałem (i nadal oczekuję, jeśli jeszcze cokolwiek wydam) rzetelnego spojrzenia i konkretnych, i oby nie było w tym... litości, czyli poklepywania banałami. Uczciwy krytycyzm wobec autora to szacunek dla czytelników. I tak to odbieram.

Od wielu lat pękam jednak wewnętrznie i kłócę się ze sobą, nie pojmując, dlaczego niektórzy recenzenci z płycizny niejednego tworu wyławiają, nie wiedząc dlaczego, pokłady swoistej głębi. Tym samym podpisują się pod kolejnymi ściekami, które tworzą szlam lokalnej literatury.

Dobrze się stało w naszym gorzowskim świątku, że z inicjatywy Agnieszki Kopażyńskiej-Moskaluk i Beaty Igielskiej oraz przychylności dyrektora Biblioteki Herberta Sławomira Szenwalda zainicjowano w Książnicy warsztaty pisania wierszy. Prowadzi je gorzowski literat Marek Lobo Wojciechowski. Na owe zajęcia dotychczas nie trafiłem. A pewnie i dla mnie byłyby wskazane. Zakładam, że pojawiający

się na tych warsztatach „uczniowie” nie będą w przyszłości autorami kolejnych... ścieków. Poeta Wojciechowski, dwukrotny laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, to konkretny i wymagający, nie tylko od siebie, twórca. I choć z Markiem od jakiegoś czasu nie bardzo mi pod windsorowy dach, na tódkę i ryby, to mam – znając jego osobowość – przekonanie, że adeptów pisania nie traktuje zbyt lekko. To pomoże, by raczkująca poetycka małość, ta niechętna serwowanym przez Wojciechowskiego radom, odpłynęła w płycizny. Natomiast wielkość, choćby nieliczna, zasili twórczością konkretną gorzowską i lubuską głębię, a nawet całe ogólnopolskie środowisko od Bugu po Odrę, od Bałtyku po Morskie Oko.

Puentując, podeprę się urywkami z eseju pt. *Zatarte granice* autorstwa Weroniki Nawrockiej: *Niestety, zniknęła konstruktywna krytyka literacka (której absolutnie proszę nie mylić z hejtem!), napisać i wydać można wszystko, czytać można wszystko, ale mówić o tym można tylko wtedy, gdy się podoba. Lub kłamać.* I jeszcze jeden: *Pisarze i pisarki boją się krytyki, uciekają przed nią i proszą o niepublikowanie jej; a stos nic niewartych czytań rośnie.*

Takie to czasy, że prawdziwej cnoty... ze świecą szukać.

ROMAN HABDAS: poeta, pisarz, stały felietonista „Pegaza Lubuskiego”. Członek ZLP. Wydał książki poetyckie *W ramionach Drawy* (1995), *Żucie szczawiu* (2007) i *Z gliny ulepieni* (2009), *Stacje Drogi Krzyżowej* (2021). Ukazały się też powieści i zbiory opowiadań: *Mały Paryż* (2015), *Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie* (2017) oraz *Żgajoki i inne opowiadania* (2019). Jest wielkim miłośnikiem przyrody i wędkowania.

KWARTAŁ U HERBERTA (WYBÓR)

Magda Turska

SPOTKANIA AUTORSKIE

- * 10 lutego 2023 roku odbyło się spotkanie autorskie Hanny Bondarenko, która dzień wcześniej wystąpiła dla gorzowian w monodramie pt. „Moje ciało jest moje od wczoraj”. W spotkaniu uczestniczyli uczniowie Liceum Ogólnokształcącego nr 2 im. Marii Skłodowskiej-Curie. Młodzież chętnie zadawała pytania autorce tomiku „Kobieta, która gotuje rosół”. H. Bondarenko wprowadziła licealistów w poetycką atmosferę. Czytano wiersze (nie tylko poetka, ale i uczniowie), próbowano je zinterpretować, a wszystko w lirycznej aurze gorzowskiej Książnicy.
- * Spotkanie z ks. Andrzejem Dragutą odbyło się 23 marca. Autor „Syna marnotrawnego. Biografii ocalenia” rozmawiał na temat tego utworu z Aleksandrą Bedką. Pisarz duszpasterz ukazał, jak istotną rolę stanowią pozaewangeliczne teksty kultury przy interpretowaniu przypowieści. Spotkanie współorganizowało Gorzowskie Duszpasterstwo Nauczycieli.
- * Na 14 kwietnia 2023 roku miłośnicy dobrej opowieści czekali z niecierpliwością. O 17:00 odbyło się spotkanie z prof. Stanisławem Nicieją, który gościł w gorzowskiej Książnicy już dziewiąty raz. Niezrównany gawędziarz przeniósł zebranych w przeszłość na wschodnie rubieże Rzeczypospolitej, by przeplatać historie Polaków na tzw. ziemiach utraconych. Autor „Kresowej Atlantydy” promował trzy ostatnie wydawnictwa z tej serii, przykuwając uwagę czytelników ciekawymi anegdotami, znamiennymi wydarzeniami z epoki czy wreszcie interesującymi momentami w dziejach Kresowian.
- * Czy muza – obok dawania natchnienia – może sama tworzyć tak, że zasiada wysoko na Parnasie? Dwudziestolecie międzywojenne, a właściwie zaproszenie Zuzanny Ginczanki na pięterko słynnej Ziemiańskiej, poświadcza, że jak najbardziej, o czym obrazowo mówiła 12 maja 2023 r. prof. dr hab. Izolda Kiec. Licznie zgromadzona publiczność miała okazję wysłuchać gawędy na temat siły poezji, ale – przede wszystkim – osobowości, jaką była Ginczanka. Profesor przeniósła audytorium w lata 30. XX wieku, skończywszy na II wojnie światowej, gdy koszmar historii stał się również okrutnym kresem poetki pochodzenia żydowskiego.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

PEGAZ LUBUSKI

Promocja pierwszego w tym roku „Pegaza Lubuskiego” (nr 1/92) miała miejsce 23 marca. Literaci zebrali się, by porozmawiać o nowym wydawnictwie, w którym – jak zazwyczaj – zamieszczono szereg utworów autorstwa gorzowskiego środowiska kulturalnego. Tym

razem, obok esejów, poezji, opowiadań i recenzji, czasopismo uświetniły fotografie Urszuli Zydorczak. Tematem przewodnim numeru była transgresja – fluktuacja – ruch. Redaktorka naczelna Agnieszka Moskaluk i dyrektor WiMBP Sławomir Szenwald poprowadzili sprawnie wieczór, omawiając poszczególne teksty. Po promocji odbyło się spotkanie autorskie Magdy Turskiej, która przedstawiła swoją książkę pt. „Szczęśliwostki”. Moderatorką spotkania była prezeska Związku Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim Agnieszka Moskaluk.

MONODRAM

9 marca wprost z odległego Lublina do Książnicy Herberta zawitała Hanna Bondarenko z monodramem „Moje ciało jest moje od wczoraj”. Aktorka, reżyserka i poetka w jednym wypełniła wieczór aurą kobiecości – tą kruchą, wrażliwą, pełną przeciwieństw i skrajności. Treść jednoaktówki wyreżyserowanej przez H. Bondarenko zmusza do zadumy nad losem kobiet w patriarchalnym świecie, brzemieniem choroby oraz utraconą miłością. Po przedstawieniu publiczność miała możliwość porozmawiać z aktorką, która entuzjastycznie wypowiadała się o naszym mieście i Bibliotece. Warto dodać, że autorka jest znana gorzowianom, ponieważ zdobyła najwyższy laur w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Z HISTORII REGIONU

- * 27 marca dr Krzysztof Wroński wygłosił wykład na temat zakonu joannitów w Słońsku. Spotkanie wpisano się w cykl „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie”. Po raz kolejny uczestnicy wydarzenia mieli okazję dowiedzieć się ciekawych historii dotyczących regionu.
- * 18 kwietnia w murach Herberta pojawili się polscy i niemieccy naukowcy, aby przedstawić zainteresowanym wykłady podczas konferencji „Łączy nas literatura i historia. Hans

Fallada po dwóch stronach granicy”. Przedsięwzięcie mogło się odbyć dzięki projektowi współfinansowanemu przez Euroregion Pro Europa Viadrina. Partnerem był Stiftung Brandenburg w Fürstenwalde. Wygłoszono pięć referatów (kolejno: dr Krystyna Kamińska, prof. dr hab. Walther Delabar, dr Wolfgang Brylla, dr Katarzyna Taborska, Peter Walther). Konferencja spełniła założenia pomystodawców, ukazując Hansa Falladę w nowym, współczesnym świetle. Jednocześnie nakreśliła wielowymiarowość pisarza, który miał także związki z prawobrzeżnymi terenami Odry, tj. Ośnem Lubuskim i Radachowem.

WYSTAWY

- * Galeria „Pod Kopułą” po raz kolejny powitała niebanalną sztukę. Tym razem dzięki Januszowi Moraczewskiemu, wernisaż dzieł którego odbył się 17 marca. Kurator Zbigniew Olchownik odniósł się do oryginalnej interpretacji rzeczywistości w malarstwie twórcy, którego prace można było podziwiać do końca maja.
- * 4 kwietnia otwarto wystawę „Z Torunia do gwiazd. Mikołaj Kopernik w zbiorach ikonograficznych Książnicy Kopernikańskiej” (2023 ogłoszono Rokiem wielkiego astronoma). Aleksandra Męczekalska wygłosiła wykład na temat kopernikanów w zasobach toruńskiej książnicy, skupiając się także na biografii i ciekawostkach z życia Kopernika.
- * Kolejny wernisaż odbył się 14 kwietnia w Galerii „Pod Kopułą”. Tym razem Herbert gościł dwupokoleniową rodzinę artystyczną, tj. Juliusza Piechockiego i jego dwie córki – Annę i Ewę. Twórczość Piechockiego to głównie olejne pejzaże, portrety i malarskie zegary nawiązujące do przemijania. Anna przedstawiła wieloformatowe fotografie z intrygującymi modelkami. Ewa ukazała malarskie skamieliny, które otwierają pole do metaforycznej analizy rzeczywistości. Prace można było oglądać do 10 czerwca.
- * 20 kwietnia miłośnicy sztuki przywitali wystawę „Cyganie na Ziemi Lubuskiej. Historia wiatrem i obrazem pisana”. Właściwie nastąpiły dwa otwarcia – pierwsze przedpołudniowe dla młodzieży szkolnej, która następnie wzięła udział w warsztatach, oraz drugie, oficjalne dla szerokiego grona, podczas którego Patrycja Mroczek-Wajs zagrała na harfie własną interpretację znanej kompozycji cygańskiej.

VARIA

- * 31 marca i 1 kwietnia w Willi Lehmana amatorzy sztuki pięknego pisania mogli wziąć udział w warsztatach kaligraficznych, które poprowadziła Olga Paszkowska. Uczestnicy skupili się na tajnikach pisma gotyckiego, posługując się tradycyjnymi narzędziami kaligraficznymi (stałówką, obsadką i atramentem). Wykonali teksty oraz ozdobny filigran, który nawiązywał do Wielkanocy.
- * W marcu w Książnicy rozpoczął się cykl comiesięcznych warsztatów literackich Padok Pegaza, organizowanych przez gorzowski Oddział ZLP. Na spotkania, które prowadzi poeta Marek Lobo Wojciechowski, przychodzą (nie tylko młodzi) adepci pisania. Ich twórcze zmagania zostaną pod koniec roku zebrane w wydawnictwie powarsztatowym.

Działalność gorzowskiej Książnicy jest mocno nastawiona na czytelników, z których każdy może dopasować ofertę Instytucji do swoich potrzeb. Zapraszamy na stronę www.wimbp.gorzow.pl oraz nasze portale społecznościowe (Facebook, YouTube, Twitter).

| | |
|--|----|
| OD REDAKCJI | |
| Agnieszka Moskaluk: Rozłam | 1 |
| WIERSZ NA OTWARCIE | |
| Beata Patrycja Klary-Stachowiak: Pochód wymartych gwiazd | 2 |
| WSPOMNIENIE | |
| Barbara Schroeder: Kometa | 3 |
| IN MEMORIAM | |
| Irena Zielińska: *** [„ja nie wiem...”], Jak żebraczka, Tu, Mówcie, Istota | 7 |
| MINIESEJ | |
| Łucja Fice: Pęknięcia | 10 |
| POEZJA | |
| Jerzy Hajduga: Pośmiertna szata, To dziecko jest moim mężem, Ostatnia odłona, Wstań | 11 |
| Janina J. Jurgowiak: wiosna w Owczarach, I czas umierania, Rzeka | 12 |
| OPOWIADANIE | |
| Hanna Bilińska-Stecyszyn: Gasthof zur Goldenen Kugel | 13 |
| POEZJA | |
| Zbigniew Witostawski: Nietrwałość | 22 |
| Jolanta Karasińska: Linoskokczek, Wiosna, *** [„Gubię się...”] | 23 |
| Łucja Fice: Jakby nic się nie stało | 24 |
| Tomasz Korbanek: Przedmieście, Bezbronny, Oda do nocy | 25 |
| MŁODZI PISZĄ | |
| Oliwia Wierzińska: Konsekwencje [proza] | 26 |
| POEZJA | |
| Ferdynand Głodzik: Przejście przez próg, Płacz w pustej katedrze | 28 |
| Z. Marek Piechocki: ci barbarzyńcy, których zwiastował prorok Kawafis, kreślą sobie na mój widok kółka na czole, Możecie już stąd odejść..., Ktoś biegł tą uliczką przed nami, miał jak my wzrok zdjęty uczuciem, Faustowi śniły się kobiety..., w trumnie zrzęczniejsi..., ... jeśli dotarłeś do mety, odpręż się | 30 |
| OPOWIADANIE | |
| Danuta Szulczyńska-Mitosz: Marginesy | 36 |
| POEZJA | |
| Marek Lobo Wojciechowski: Macondo, Macondo, kuchnia, noc | 40 |
| Andrzej Hegen Haegenbarth: Oko | 41 |
| OPOWIADANIE | |
| Aneta Gizińska-Hwozdyk: Jajko | 42 |
| POEZJA | |
| Wioletta Kinal: *** [„wierzę w święty spokój...”], *** [„czekam...”], *** [„umarli...”] | 45 |
| OPOWIADANIE | |
| Ryszard Jasiński: KA, NTATA | 46 |
| ROZMOWA | |
| Zdrady i ramy [wywiad Agnieszki Moskaluk z prof. Izoldą Kiec] | 48 |
| RECENZJA | |
| Czesław Sobkowiak: To dzieje się naprawdę | 50 |
| Maria Borcz: *** [„widzę...”], *** [„żądny władzy...”], *** [„ogień...”], *** [„opustoszące...”], *** [„tu był...”] | 52 |
| OMÓWIENIE | |
| Magdalena Matuszewska: I cóż dalej, Fallado? | 54 |
| RECENZJA | |
| Weronika Nawrocka: Między obietnicą a rzeczywistością | 57 |
| Beata Igielska: Płynię, wije się rzeczka... .. | 59 |
| FURMANKA 2023 | |
| Agnieszka Moskaluk: I stało się... więcej! | 61 |
| PROSTO Z WINDSORU | |
| Roman Habdas: Ścieków wiele, a cnoty ze świecą... .. | 63 |
| Magda Turska: Kwartał u Herberta | 66 |

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
W GORZOWIE WLKP. ZAPRASZA DO
UCZESTNICTWA W KONFERENCJI

OCALONE, UTRACONE. ZBIORY BIBLIOTEK PUBLICZNYCH ZIEM ZACHODNICH I PÓŁNOCNYCH POLSKI PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Konferencja odbędzie się
29 września 2023 roku

Osoby zainteresowane wygłoszeniem referatu
prosimy o kontakt

region@wimbp.gorzow.pl

tel. 97 727 70 71

więcej informacji na:

www.wimbp.gorzow.pl





Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim



**OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI
IM. JANA GROSSA
EDYCJA III - 2023 r.**

**Termin składania prac
- do 31 sierpnia 2023 r.**

Regulamin Konkursu na stronie
www.wimbp.gorzow.pl